



„CHCĄ-ŻE ROSJANIE WOJNY?”

Usłyszeliśmy ją po raz pierwszy w sowchozie „Talaszkino”. Przy biesiadnym stole zanuciła ją jakaś kom-somolka. Po chwili pieśń, jak dzwon biła w uszy przepiękna, przejmująca melodia i niezapomnianymi słowami wiersza Jewtuszenki: „Chcą-że Rosjanie wojny?” Odtąd nie opuszczała nas ani na chwilę. Wedrowała razem z nami po polach i halach fabrycznych, odwiedzała obozy pionierskie, niosła się wzdłuż Dniepru. Zawsze głęboko wzruszająca, przepiękna pieśń pokoju: Czy chcą Rosjanie wojny?...

Przez smoleńską ziemię przeszła już niejedna pożoga. Smoleńsk — jedno z najstarszych miast rosyjskich, który w przyszłym miesiącu obchodzić będzie 1,100-lecie swego istnienia — pamięta wiele. I napad litewskich feudalów w XIII wieku, i polsko-szwedzka interwencja w czterysta lat później, i bitwy napoleońskie pod i za murami miasta... Ale żadna wojna nie poczyniła takiego spustoszenia, jak ostatnia. Przez całą Smoleńszczyznę ciągnął się front. Miasto-metropolia uległo zniszczeniu w 93 procentach, a i te nieliczne domy, które pozostały — hitlerowski okupant skazał na zagładę.

Na gmachu dawnego hotelu 25 września 1943 roku już powiewał czerwony sztandar, gdy saperzy odkryli, że dom cały jest zaminiowany. Jeśli stoi więc do dziś — zawdzięczać to należy czujności frontowych żołnierzy. Smoleńszczanom zaś, gorąco w swoim mieście zakochanym, że jeden z takich zdradzieckich ładunków zachował dla potomności. Dziś można oglądać go w miejskim muzeum.

Wielki pietyzm do rodzinnej ziemi kazał smoleńszczanom nie tylko zgromadzić wszystkie, co wiąże się z burzliwymi dziejami tej ziemi — w muzeum, ale i odrestaurować fragmenty muru obronnego oraz liczne pomniki wśród nich sławnych ludzi Smoleńszczyzny.

A wydała ich ona niema-
Dalszy ciąg na str. 4

JULIAN BRYSZ

Z GŁOWĄ NA KARKU

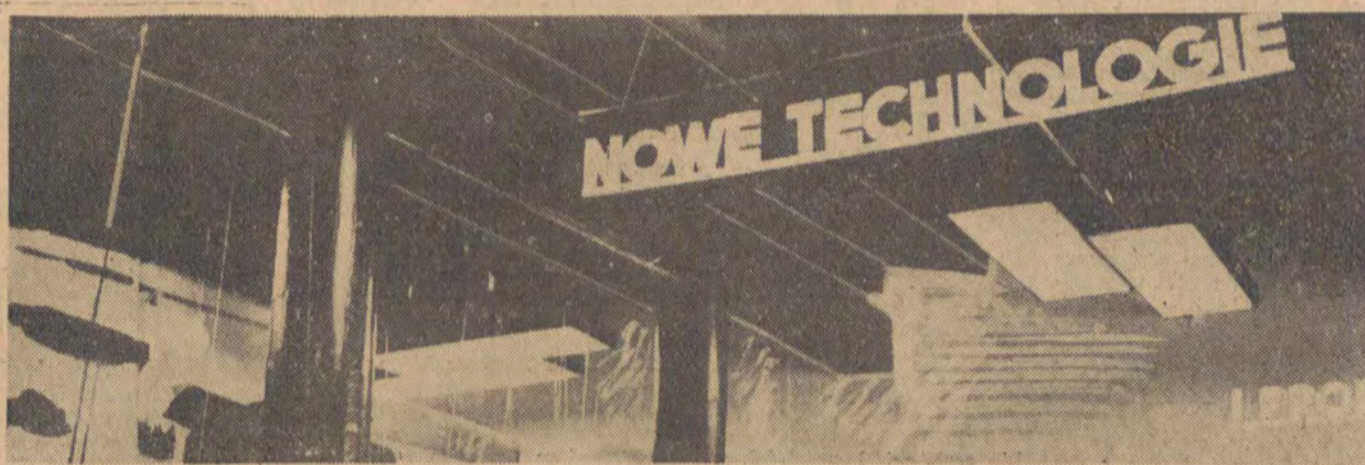
Od blisko dwóch tygodni w łódzkim Muzeum Historii Włókiennictwa czynna jest niezmiernie ciekawa wystawa. Jej ekromny tytuł — „Wynalazczość pracownicza w przemyśle włókienniczym” — nie powie nam zbyt wiele.

Jeśli jednak kogoś z was — Czytelnicy — trapije pomysłowość ludzka, sztuka logicznego myślenia, pasja usprawniania otaczających nas przedmiotów i mechanizmów, by lepiej służyły człowiekowi — radzę koniecznie obejrzeć tę wystawę.

Zgromadzono na niej 207 wynalazków, powstałych w 84 fabrykach na terenie całego kraju, będących rezultatem wieloletniej często pracy racjonalizatorów. Są tu duże konstrukcje i mikroskopijne detale, które potrafiły zrewolucjonizować cały cykl produkcyjny.

ZIARNKO DO ZIARNKA

U wejścia na wystawę wita nas plansza: „Zgromadzone tu projekty przyniosły gospodarce narodowej około 200 milionów złotych oszczędności”. Ta miaraka zebrała się z małych ziarenek. Ktoś odkrył, że



cewka przedarłki, osadzona nieco inaczej w uchwycie, może nawinąć o 12 procent więcej przędzy, ktoś inny zmechanizował proces mierzenia i zwijania wadliny, co dotychczas robiono ręcznie, ktoś zbudował prosty kołowrotek do skręcania lin i umożliwił tym „skrócenie” hali produkcyjnej z 220 do 20 metrów.

Celowo wymieniam na początek najprostsze pomysły by wskazać, że w racjonalizatorstwie każdy ma pole do popisu. Przy wielu usprawnieniach nie jest niezbędne specjalne wy-

kształcenie, często wystarczy „głowa na karku”.

Typowym przykładem takiej „głowy” jest ekspozowane na wystawie krosno tkackie na którym dokonano aż 16 usprawnień. Wyeliminowano więc możliwość wyrwania wrzeciona i wyrzucenia czółenka, zastosowano pomysły hamulec i urządzenie do wykrywania zerwanej nitki, itd. Cierpliwa praca zespołu racjonalizatorów doprowadziła ich wreszcie do wynalazku, możliwego do zastosowania w szerokiej skali. Tamte wszystkie usprawnienia dotyczyły tyl-

ko jednego jedynego typu krosna, teraz zdolali jakby przekroczyć barierę i uogólnić swoje doświadczenia. Skonstruowali mianowicie urządzenie, które zapobiega ściąganiu się tkaniny pod wpływem ruchu czółenka.

Podobnych, uniwersalnych wynalazków jest na wystawie bardzo wiele. Oto słynna już spiralka do tzw. nibyskrętu. Wiadomo, że przedzę uzyskuje się na drodze skręcania grubego warkocza włókien w coraz cieńszą nitkę. Jednym z etapów tego procesu jest właśnie ów nibyskręt. Tzw. lejek nibyskrętowy, to u-

rządzenie składające się z około 20 bardzo precyzyjnych części. Jednak dwaj racjonalizatorzy z Bielskiej Fabryki Maszyn Włókienniczych ośmielili się twierdzić, że to wszystko jest zbędne! Zamiast — zastosowali spiralkę drucianą, przypominającą korkociąg. W rezultacie dopracowali się wynalazku na skalę światową.

W Zakładach im. 1 Maja w Łodzi wieloosobowa grupa robotników obserwowała długo pracę trójczłonowego zespołu maszyn —

Dokończenie na str. 4

BERNARD SZTAJNERT

BIOLOGIA LITERATURY

Wielu mówi o technice literatury, o technice książki, o technice pisarstwa, o technice pisanja, wszyscy milczą o biologii tych zjawisk, przedmiotów procesów i czynności. Czyżby czynności pisarza były mechaniczne, tylko mechaniczne, czyżby dzieło pisarskie było maszyną, konstrukcją automatyczną maszynową... A ruch dzieła literackiego — nie będąc ruchem przestrzennym — ruch biegnący jedynie w wewnętrznym, zakomponowanym czasie dzieła — czy ruch ten jest ruchem technicznym, czy raczej odśrodkowym osobnym ruchem biologicznym — ruchem biologicznym — ruchem

— życiem. A dzieło literackie czy powstaje raczej jako konstrukcja czysto myślowa, myślowo-techniczna dodajmy, czy też raczej, jako biologiczny organizm, jako organizm, którego myśl jest tylko jedną bardzo istotną, ale tylko jedną funkcją.

Czy dzieło literackie jest budowane, konstruowane, czy też raczej płodzone i rodzone w trudnym, bolesnym porodzie. Twory wyłącznie konstruowane, twory techniczne są układami ścisłymi, układami wymiernymi — ścisłość i wymierność to atrybuty ich martwoży, ich doskonałość i ich całkowite w zasadzie podporządkowanie zamiarowi konstruktora — to podstawa ich ustawicznej, przedustanowionej śmierci. Twory biologiczne są układami niewymiernymi — układami, których rozrost następuje własną drogą w osobistym jednostkowym czasie — nieokreśloność ich rozrostu — bezustanne

konflikty z zamiarem rodziciela to podstawa ich ustawicznego zaczętego dawno przed osiągnięciem kształtu pseudogotowego życia.

II

Jesteś autorem to znaczny jesteś ojcem i matką dzieła w jednej osobie — hermafrodytą narodzin, a potem czułym i nieco zawistnym opiekunem niewymiernego rozrostu poczętego. Autor — wychowawca krnąbrnych dzieci — nie może o nich zapomnieć nawet wtedy, gdy one leżą w domu, a on biegnie po ulicy — pamięta je pamięcią uczuć, pamięcią wszystkich zaangażowań. Wraca do pracowni, do stołu i widzi młody, wrzeszczący organizm rozpięający się w kierunku: w czasie, który on autor przeznaczył dla innych dzieci, lub dla pustki i ciszy, dla niezbędnej pustki i ciszy. Chwyta więc młody organizm w

piszące ręce i usiłuje go ugnieść w kształt, który kiedyś dla niego zamierzył umysłem. W kształt techniczny, maszynowy.

Umysł był przecież tylko ojcem pierwszego technicznego zamiaru — tworzenie to proces, który autor odhwywał wszystkimi swoimi władzami, całą swoją istotą — także i wybitnie pozorowaną jej częścią. Dlatego teraz w chwili załamania powraca do rozum, wyłącznie do rozum — pisał przecież także uczuciem, afektem, strachem i snem — była w nim także pustka i cisza i zazdrośna o kropkę nowego życia śmierć, oczywiście wyłącznie ta śmierć estetyczna, ów grecki Tanata brat Erosa. Wszystko to obecne w młodym dziele i niegdyś w autorze i z autora poczęte opera się wierności wobec pierwszego zamiaru — tak jakby miało walczyć nie tylko strawionym pragmatem iluzorycznej, bo technicznej

Dalszy ciąg na str. 6



Praca szkolna Renaty Pajchel studentki PWSTiF (patrz artykuł na str. 8)

NAGRODA

Stanisław Czernik otrzymał w br. nagrodę Ministra Kultury i Sztuki (II stopnia) za książkę pt. „Reka”. Jak wiadomo, nagrodę I stopnia otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz za „Sławę i Chwałę”. W klasie nagród II stopnia oprócz Stanisława Czernika zostali wyróżnieni Flora Bieńkowska za „Dalekie drogi”, Arkady Fiedler za książki podróżnicze, Tadeusz Łopalewski za książkę „Kaduk czyli wielka niemoc”, Wilhelm Szcwycyk za „Literaturę niemiecką XX wieku” oraz Wiśniewska za tom poezji „Sól”. Nagrody III stopnia otrzymali Jerzy Jurandot i Maciej Patkowski.

O „Rece” Stanisława Czernika pisaliśmy w „Odgłosach”. Nazwaaliśmy ją powieścią o problematyce moralnej, opowieścią — baśnią o wierze w prawość ludzka. Stefan Lichański określił w „Tygodniku Kulturalnym” książkę Czernika jako przypowieść filozoficzno-poetycką (przypowieść, beletryzowany esej, poemat prozą — każda z tych nazw może być użyta, byleby nie brać jej zbyt sztywno, formalnie, literalnie). Lichański zwrócił uwagę na to, że nad powieścią Czernika, „czytelnik musi się pochylać tak, jak nad źródłem, z którego chce się napić. Jest to książka wymagająca czytania współwzrostowego, nie tylko z ołówkiem w ręku, ale i czujną, napiętą myślą”.

Powieść Czernika oddziałuje na czytelnika wieloma sposobami. Nie wchodzi tu w grę wyłącznie powierzchowna warstwa fabularna. Pierwsze, co niejako narzuca się czytelnikowi, to zagadnienie wyboru tematu przez pisarza. Jest rzeczą charakterystyczną, jak Czernik w swoich powieściach, esejach, wierszach i wypowiedziach wciąż powraca do jednego zasadniczego motywu, który nazywa naczelnym w swojej twórczości. Nie chodzi przy tym o „wartość samego aktu pisania”, właśnie ten akt jest inspirowany przez ów motyw. „Na dobrą sprawę — powiada — cała moja poezja, może nawet i całe moje piarstwo pozostaje pod znakiem, pod nazwą, pod symbolem „ehaty”. Leit-motiv powtarzający się, wiążący poszczególne części w zorganizowaną całość. Do tej ehaty-symbolu powraca Czernik, gdziekolwiek się znajduje. W owej ehacie, w owym „Ilionie” otoczonym wierzbami, w tym skrawku świata, który zawsze pozostał dla pisarza „emocjonalnym środkiem świata”, który (ów drobny światek, gospodarstwo chłopiekie w Wiśniowej Górze) osadzony na trwałej w wyobraźni (pisarza i bohatera powieści) „rozrastał się wraz z nią, i poprzęzł ją, i jakby rozciągliwą błoną ogarnął późniejsze mnóstwo innych światów, większych, piękniejszych, ważniejszych, nie tylko nie rozpraszał się wśród nich, ale ich różnorodność jednoczył, scalając własną jakością”. W tym świecie tkwiły (i tkwią) korzenie „wiecznej” sprawy, pytań — „kim jestem? Skąd? Jakże były moje dzieje nim stałem się ciałem i duchem? I z tego świata wywodzi się motyw — który pojawia się w wielu wierszach, w po-

wieściach, szkicach — motyw poszukiwania własnego rodowodu. Inaczej oczywiście zabrzmiał on we wspomnieniach z Algierii. Inaczej zabrzmiał w „Domu pod wierzbami”. Inne wreszcie znalazł rozwiązanie w „Rece”. Ale czy ostateczne?

Kto nie zdoła odczytać tej książki — pisze S. Lichański — „jako wypowiedzianej językiem przedstawień artystycznych propozycji kulturowej, moralnej, filozoficznej, ten odnajdzie w niej tylko opowieść o dwu osobliwych maniakach”. Te propozycje są widoczne na przeróżnych płaszczyznach powieści Czernika. Dla autora „Reki” nie ma umarłego czasu. Dzień wczorajszy odbija się w dniu dzisiejszym, różne plany czasowe nakładają się na siebie, treści współczesne współistnieją z dawnymi, w tych dawnych znajdziemy niejednokrotnie prapoczątki spraw dzisiejszych, przy tym autorowi nie chodzi „o barwne szczegóły”, ale o „czynniki określające styl i warunki życia ludzkiego”. Dlatego zapis chłopca pańszczyźnianego Grzegorza („trochę ślepego, i trochę głuche”) o narodzinach myśli — pszczołenki — o godności człowieka — zrodzonej w najbardziej upodlonych, zwierzęcych warunkach — posiada tak silny związek z postępowaniem uczonego profesora, który przyjechał odwiedzić rodzinną Wiśniową Górę, jak i znaczenie dla jego brata Adama, cierpiącego na kompleks „reki”, jak i dla syna Adama chorującego z powodu złamanej gałązki brzośkwini. W powieści widać próbę uchwycenia — całości zjawiska, które tutaj nazywa się (jak określa Lichański) „Szukaniem samowiedzy stanowiącego chłopca”, ale sądzę, że nie tylko „stanowej”. Lichański słusznie dowodzi, że „Reka” przedstawia proces schodzenia bohatera w głębie tej chłopiecko-plebejskiej świadomości, ale przecież „Reka” pokazuje również i proces odwrotny — dojrzwiania bohatera współczesnych. Autor pokazuje wyraźnie (pamiętnik Grzegorza, „spowiedź” Adama) jakimi drogami bohaterowie przychodzili „do wskazanej postawy”. A ta „wskazana postawa” to nie tylko chłopiecko-plebejska świadomość, do niej mógł dojść Grzegorz, ale dzisiejsi bohaterowie, żyjący w nowych zupełnie układach społecznych?

Czernik próbuje „mierzyć świat, bada dzieje, ocenia historię”, pokazuje prawdę o narodzinach człowieka, o myśli — „pszczołence”. Nazwałem tę książkę opowieścią o narodzinach prawości. W tych układach mógł się opłacać trud „poszukiwania rodowodu”. Prawda, do której doszedł przadziad Grzegorz, rozwijać się będzie wciąż i rozkwitać (oczywiście nie w sposób bezkonfliktowy, pozna jej gorzki smak Adam), ale czy na tym koniec? Właśnie że nie, to jeszcze nie koniec poszukiwań i jakkolwiek wierzymy, że świat się zmienia na lepsze w sensie społecznym i moralnym, to przecież dzięki temu znakowi zapytania, zawartemu w ostatnich liniach pamiętnika Grzegorza, została w powieści otwarta droga do dalszych, twórczych rozwiązań.

Nagrodzona została powieść „Reka”. Ale sądzę, że w tej nagrodzie mieści się również uznanie dla pisarza, który całą swoją bogatą twórczością (S. Czernik w ciągu czterdziestu lat pracy pisarskiej — od 1923 roku — wydał szereg książek z zakresu poezji, folklorysty-



Stanisław Czernik w karykaturze Ibsa-Gratkowskiego

ki, eseistyki i powieści, w tym cykl powieści historycznych) — daje świadectwo silnego powiązania z życiem, z codziennymi troskami i radościami ludzi pracy. Ten akcent bardzo silnie waży na charakterze twórczości Czernika. Nurt reprezentowany w powieści „Reka” to zaledwie jeden z wątków tematycznych, które interesują pisarza. Nie sposób w felietonie pisanym z okazji przyznania nagród artystycznych omówić całego dorobku pisarskiego Czernika, tym bardziej, iż ten dorobek jest tak różnorodny. Wydając „Stare złoto”, książkę poświęconą po-

szukiwaniom resztek pra-poezji, o zabytkach polskiej pieśni ludowej, Czernik przyrównał siebie do samotnego wędrowca, przemierzającego szlaki „jeszcze” nie zbadane, który jednak ma nadzieję, że jego samotne wysiłki może uturują drogę systematycznym, zbiorowym badaniom. Autor „Starego złota” tej pięknej, pełnej twórczych pomysłów książki, należy do tych entuzjastów, którzy nie tylko starą pieśń-poezję zachowują od zapomnienia, poszukują jej szczytów jak cennych skarbów — ale tych skarbów szukają także na dnie duszy ludzkiej.

LISTY cytelników

**SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!**

Nie wiem, czy zechce Pan przyjąć do wiadomości skromną wzmiankę z okazji mojego pobytu w Koninie w dniach od 21 do 22 lipca br.

Szczerze przyznam, że zostałem mile zaskoczony nowym pejzażem Konina. Poza kopalnię i elektrownię widziałem budujący się — Konin nowy.

W ładnie usytuowanych kompleksach bloków mieszkalnych, nowych szkół i innych b. ładnie pomysłowych i miłych dla oka elewacji.

Poza zamieszkanymi — trwa budowa nowych osiedli mieszkaniowych.

Wszystko jest charakterystycznym przeciwieństwem dawnego miasta.

Informujący mnie szylid wykonawcy budowy — „Przedsiębiorstwo Budownictwa Terenowego” w rozmachu i gospodarności nie ustępuje wielkim ośrodkom naszego kraju.

Jako rodowitego łodzianina — obowiązuję mnie przede wszystkim lokalny patriotyzm, związany z osiągnięciami rodzinne-

go miasta, a zatem głębokiego uznania dla zasług jego budowniczych, dla tych cennych rak i zespołów twórczych, którym to wszystko co widzimy — zawdzięczać będą przyszłe pokolenia.

Jestem pełen głębokiego uznania również i dla tych, którzy w trosce o przeszłość naszego miasta, wskazują na świadków pozostałości dawnego charakteru, starych łódzkich „famul”. Dziękuję przeto panu Janowi Babińskiemu i serdecznie polecam jego myśl, ażeby potężność zachować zespoły budynków Księżego Młyna oraz innych unikalnych zabytków robotniczej Łodzi, z okresu ub. stulecia, w zamieszczonym artykule Waszego poczynnego tygodnika „Odgłosy” nr 25/27 z dn. 23. 6. 1963 r.

Zatem, być może, że i podobne sprawy zaistnieć mogą również i na terenie miasta Konina.

Skromne moje uwagi stają się może zbyt odległe od problemów bardziej wąskich, które są cechą okresu ciekawych przemian, i które winny być odbiciem właściwych ram naszej publicystyki.

Niemniej jednak pozwalam sobie w skromnej uwadze zaproponować zamieszczenie artykułu-reportaży o troskach i osiągnięciach w ostatnich latach — miasta Konina.

Bedziemy niezmiernie ciekawi, jaki będzie „odgłos” Konina i „tych”, którym powierzono zostały poważne i odpowiedzialne zadania, w ukazałtowanu trwałego świadectwa nowej, socjalistycznej Polski.

Raczy Pan Redaktor, przyjąć wyrazy głębokiego poważania

JAN FRANKOWSKI
Łódź,
ul. Abramowskię 23, m. 19

Całe szczęście, że nie musiałem co dwa — trzy dni przysyłać wiadomości na bieżąco, jak robili to koledzy z prasy codziennej. Dopiero w powrotnej drodze z Moskwy do Łodzi moje wrażenia zaczęły się porządkować, układać — i w tej chwili mogę się pokusić o krótkie podsumowanie festiwalu filmowego.

A więc Fellini laureatem na Kremlu! Do ostatniej chwili wewnątrz jury trwała walka, której odgłosy dochodziły krążących wokół dziennikarzy. Przyznanie pierwszej nagrody festiwalu o hasle „O humanizm sztuki filmowej, o pokój i przyjaźń między narodami” filmowi tak subiektywnemu, tak kontrowersyjnemu jak „8 i pół” wydawało się prawie niemożliwe. Jednak jury, którego większość zresztą stanowią filmowcy z krajów zachodnich (z upartym Kramerem i Amidei na czele) przyjęło do wiadomości długą eksplikację, wygłoszoną przez Felliniego. W eksplikacji tej autor zapewnił, że zrobił film humanistyczny, międzynarodowy etc. Wydaje się, że Fellini, który przyjechał na pokaz swego dzieła w ostatniej chwili, odpowiadał w ten sposób na zarzuty, postawione mu przez krytykę już tydzień wcześniej.

Jaki jest ten film naprawdę? W każdym razie napewno wielki, doskonały. Ogromny dystans dzieli Felliniego (twórcę „La Strady” i „Słodkiego życia”) od zdobywców dalszych nagród. To wielki artysta. Czy jednak jego osobiste rozterki i obsesje, tak znakomicie pokazane, są problemami, nurtującymi współczesną ludzkość? Tylko do pewnego stopnia. Część czytelników czytała już zapewne informacje, zawierające streszczenia filmu, nie dające się streścić. Historia reżysera (autoportret Felliniego — gra Mastroianni), który w momencie rozpoczęcia nowego filmu dochodzi do wniosku, że nie ma w nim nic do powiedzenia — i rozpamiętuje swoje życie poczynając od dzieciństwa, nie może wybrnąć z kłopotów z żoną i kochanką, z producentem, z gwiazdą, ze współscenarzystą. Rzeczywistość miesza się ze wspomnieniami, z marzeniami i urojeniami. Dość niespodziewanym zakoń-

STANISŁAW KOKESZ

FELLINI

zeniem jest powrót chęci do życia, chęci do twórczości, do ludzi. Tylko tyle i aż tyle jest w „8 i pół”, filmie doskonałym w robocie reżyserkiej, w każdym szczególe.

A obok tego wiele filmów zgola słabych, szarych, schematycznych. Na festiwal moskiewski przysyłają swoje próby kraje małe, których nie zaprasza się do Cannes i Wenecji, a zachodnie potęgi filmowe często dają filmy obojętne politycznie i artystycznie. Gdyby np. USA zgłosiły „Proces w Norymberdze” Kramera, miałyby szansę na czołową nagrodę. Ale Stanley Kramer jest twórcą lewicowym, i Departament Stanu wbił zgłoszę „Wielką wyprawę”, film dobry, ale, ani wybitny artystycznie, ani zaangażowany ideowo. Francja nie zgłosiła do konkursu doskonałego filmu montażowego Rossifa „Umrzeć w Madrycie” — filmu, który jest zaangażowany po stronie republikańskiej (jest to historia wojny domowej w Hiszpanii), lecz nie jednostronny, bardzo obiektywny. Zgłoszono natomiast komedijkę Etaixa, dobrą, zabawną — ale tylko tyle.

Anglia dała nową wersję „W pustyni i puszcy”, historię chłopczyka angielskiego, który w czasie konfliktu suezkiego (akcenty antyegipskie) traci rodziców i przedziera się przez cały Czarny Ląd aż do Południowej Afryki. Są tu pozytywne postacie Murzynów, świetne aktorstwo E. Robinsona, piękne zdjęcia — ale w sumie Sięnkiewicz był lepszy. Tytuł: „Samy idzie na południe”. Japonia zgłosiła „Zepsuta dziewczynka”, dobry film obyczajowy o współczesnej młodzieży. Słusznie otrzymał on jeden z trzech złotych medali. Drugi złoty medal dostał Jugosłowianin Bulajić za niedobry, pretensjonalny film o wielkiej bitwie między partyzantami a wojskami niemieckimi „Kozara”.

Natomiast pierwszy w kolejności (a więc najważniejszy) złoty medal przyznano Czechom, którzy mają swój dobry rok. Poza konkursem widzieliśmy piękny na wpół bajkowy film Jansego „Gdy przyjdzie kot”, nagrodzony już w Cannes. Natomiast laureatami moskiewskimi zostali Klos i Kadar, którzy w filmie „Śmierć nazywa się Engelchen” w sposób niebanalny i nieschematyczny pokazali tak już ograny temat partyzancki. Czesi więc w tym roku wypadli znacznie lepiej od nas i w Cannes (gdzie źle zrozumiiano i źle przyjęto „Jak być kochaną”) i w Moskwie. Przyjęcie „Czarnych skrzydeł” mimo dobrych recenzji w prasie radzieckiej i wyróżnienia srebrnym medalem, trudno nazwać ciepłym. Film Petelskich jest dobrze zrobiony, ale w dniu poprzedzającym projekcję „Czarnych skrzydeł” pokazano rumuński „Lupen 21” o podobnej tematyce. Też strajk górników, związki zawodowe, wiece, kapitaliści w latach dwudziestych. Rumuni zresztą zrobili rzecz słabszą, mimo wymyślnych efektów dźwiękowych i stereofonii i również dobrych scen masowych.

Gospodarze także nie mieli na tym festiwalu wybitnego dzieła. Oba pokazane filmy radzieckie („Taki jest Bałujew” i „Rejs bez ładunku”) są współczesne, zaangażowane, dobrze zrobione i grane — ale nie tej rangi co „Dziewięć dni jednego roku” czy „Czyste nlebo”. Oba nawet nieco schematyczne w rysunku postaci, choć nie w przeprowadzeniu akcji. Drugi z tych filmów, lepszy, otrzymał srebrny medal. Dobrze zrobiony film NRD wg znanej powieści Apitzo o obozie w Buchenwaldzie „Nagi wśród wilków” otrzymał medal za reżyserię (Frank Bever). Spodziewano się nawet wyższej lokaty tego filmu, choć można mu zarzucić jednostronne pokazanie funkcjonariuszy obozowych. Ciekawostka: w filmie gra kilku aktorów polskich, m. in.: Plotnicki, Krystyn Wójcik, Melanowicz.

Taka więc była konkurencja dla Włochów, którzy otrzymali dwie główne nagrody. Prócz bowiem Grand Prix dla „8 i pół”, również nagroda międzynarodowej krytyki filmowej FIPRESCI przynadła reż. Nanni Loy za film pozakonkursowy „4 dni Neapolu”. Jest to wy-

bitne, pódokumentalne dzieło o zrywie ludu neapolitańskiego pod koniec wojny — film nie dopuszczony na festiwal w Cannes skutkiem protestu NRF. Poza tymi dwoma znakomitymi obrazami, Włosi pochwalili się jeszcze poza konkursem „Lampartem” Visconti'ego (Grand Prix w Cannes), filmem niezwykle pięknym, choć nieco zbyt długim. NRD natomiast pokazała poza konkursem „Rosyjski cud” reż. Thorndike, film montażowy o historii ZSRR od rewolucji do sputników. Przy znakomitym istotnie doborze materiałów archiwalnych, dobrej kompozycji, film ma jednak miejscami zbyt wolne tempo.

Kilka już filmów określiłem jako zbyt długie — może zmęczenie było też wywołane dużą ilością pokazów i tropikalnym niemal upałem, jaki panował w Moskwie. Na szczęście w Pałacu Zjazdów na Kremlu klimatyzacja jest doskonała. Od tego powinienem zacząć: festiwal odbywał się w supernowoczesnym, znakomicie zaprojektowanym i wykończonym Pałacu Zjazdów.

Słów kilka o dwóch filmach osobliwych. Egipski supergigant „Saladin” pokazał wojny krzyżowe od strony Arabów. A więc krwawym, zdradzieckim, okrutnym europejskim rycerzom przeciwstawieni zostali szlachetni, dzielni Arabowie. Oglądało się to z mieszanymi uczuciami. Oczywiście, że sporo prawdy historycznej jest w pokazaniu w ten sposób najazdów Krzyżowców na ziemi arabskie, ale raz i niewątpliwie nacjonalizm i tendencyjność. Zwycięskie bitwy Saladina (wśród jego przeciwników: Ryszard Lwie Serce) pokazane zostały z rozmachem, z użyciem tysięcy statystów, a kolor wykorzystano przede wszystkim dla pokazywania strumieni płynącej krwi. Innym filmem osobliwym był zachodniemiecki fabularyzowany dokument o podróży szwedzkiego szkolnego żaglowca. Też szeroki ekran i kolor, a ponadto doskonała technicznie stereofonia. Tytuł: „Flying Klipper” (nazwa statku). Coś w rodzaju programu Cineramy: parada janczarów w Istambule, taniec brzucha pod Slinksem, sztorm na Adriatyku etc. Ale rodzynkiem było spotkanie „Klippera” z V flotą amerykańską. Niemieccy filmowcy zachwytują się potęgą USA,

NA KREMLU

pokazując m. in. imponujący istotnie start całych eskadr samolotów rakietowych z pokładu lotniskowca, sprawność bojową floty i lotnictwa. Ale na festiwalu, w którego hasła są słowa „o pokój i przyjaźń między narodami” — to też raziło, nawet bardzo.

Filmów naprawdę festiwalowych było — jak już wspominałem — niewiele. Na festiwal w Wenecji specjalna komisja dopuszcza tylko 14 filmów, najlepszych spośród zgłoszonych. W Moskwie wyświetla się wszystko, co przyślą. Cóż się dziwić, że nikt z dziennikarzy, nawet się nie zdobył na pójście na takie dzieła jak „Ach, dziewczątka!” (Mongolia) czy „Szuszu i milion” (Liban). Wybaczcie mi — ja też nie poszedłem, i chyba niewiele straciłem. Straciłem zato sporo czasu, oglądając niektóre filmy niewiele ciekawsze. Wielu gości i dziennikarzy wysuwało już propozycje, by i na tym festiwalu wprowadzić jakąś wstępną selekcję. Jeśli już jestem przy minusach festiwalu, wspomnę o tym, że projekcje filmów krótkometrażowych odbywały się w tych samych godzinach, lecz w innej sali. Przez to krótkometrażówek nikt nie widział, prócz specjalnie zainteresowanych — no i odrębnego jury. Ja zobaczyłem tylko węgierską „Pieśń o żelazie”, nagrodzoną Grand Prix krótkiego metrażu. To bardzo ładna impresja na temat oryginalnych rzeźb, kutech w metalu, i ich twórcy. Dobry kolor, dobra muzyka, ani słowa komentarza.

Wszyscy goście festiwalowi mieszkali w ogromnym hotelu „Moskwa”, przed którym od rana do nocy stał tłum wielbicieli i ciekawych. Jean Marais, bardzo tu popularny, musiał wymykać się tylnymi drzwiami. Również Yves Montand i Simone Signoret oblegani byli za każdym razem, gdy ukazali się przed hotelem. Znana jest też dobrze z ZSRR Giuletta Massina, która przyjechała z mężem, Fellinim, mniej Antonella Lualdi (opalaną na Mulatkę) i Lea Massari. Moskwićzanie zobaczyli Marylin Monroe w „Pół żartem, pół serio”, wyświetlanym poza konkursem. A „na żywo” byli m. in.: Susan Strasberg (Anna Frank i „Kapo” z filmu Pontecorvo), Danny Kaye, Tony Curtis z żoną, piękną Christine Kaufmann, odtwórczynię roli polskiej księżniczki w amerykańskim „Tarasie Bulbie”. Wśród wielu egzotycznych gwiazd wyróżniała się uroczą Klubanką o nieznanym nazwisku. Nasza Beata Tyszkiewicz jest w Moskwie również lubiana, a jej duże zdjęcia widziało się na wystawach i w galbłotach.

Codziennie, przez cały okres festiwalu, ukazywało się kolorowe pismo „Sputnik kino-festiwalu” (30 kopiełek, dużo) z programami, wywiadami, ploteczkami. Duży nakład rozeszł się błyskawicznie — a edycja francuska i angielska trafiły do gości. Również prasa moskiewska bardzo interesowała się festiwalem. Filmy konkursowe były recenzowane na bieżąco. Fotoreporterzy szaleli, fotografując gwiazdy przy każdej okazji. Z polskiej delegacji najczęściej fotografowany był Jan Rybkowski, bardzo tu popularny. Jako członek jury, należał do tych, którzy musieli z obowiązku oglądać absolutnie wszystko. Przewodniczącym jury był Grigorij Czuchraj.

Kończąc relację, z konieczności dość skrótowną, wspomnieć trzeba, że najbardziej jak zwykle udane było przyjęcie polskie (z Żubrówką) po premierze (mniej niestety udane) „Czarnych skrzydeł”. Na zakończenie festiwalu pojawili się obok ministra Furcewej wszyscy niemal kosmonauci wraz z Tiereszową, znacznie przystojniejszą i miłszą w naturze niż na gazetowych zdjęciach. Wszyscy otrzymujący nagrody, od Japończyka do Meksykańczyka (a nagród było dużo za dużo) piękną ruszczyzną mówili „Bolszaje spasibo” lub na odmianną „Spasibo bolszoje”. I wszyscy z sympatią sygnali serdecznych, gościnnych gospodarzy. Nie można mieć do nich pretensji za 35° Celsjusza w cieniu. Może za dwa lata będzie nieco chłodniej... A filmów może będzie nieco mniej, a za to lepsze...

W tym szaleństwie jest metoda...

Psychiatrzy twierdzą, że wszyscy jesteśmy trochę nie-normalni. Być może... Fakt, faktem, że choroby psychiczne bardzo się rozpowszechniły. Oficjalne statystyki europejskie notują dwa miliony chorych. Film — to zwierciadło czasów i obyczajów — nie może pozostać obojętnym wobec jednej z najtragiczniejszych plag ludzkości. Z drugiej strony jest to temat bardzo atrakcyjny przez swoją grozę, niesamowitość i dramatyczne napięcie. Świat szaleńców i psychopatów był

Natalie Wood, pogrążona w mroku kompleksów, nabytych w okresie tzw. „trudnego” dzieciństwa — ocali od obłędu i przywróci do normalnego życia — lekarz-psychoanalityk. Siłą rzeczy, należało zrealizować film poświęcony wielkiemu twórcy psychoanalizy — Zigmuntowi Freudowi. Podjął się tego ambitnego dzieła znany reżyser John Huston. Freuda zagrał Monty Clift. Film Hustona w sposób bardzo żywy i interesujący pokazał trudną walkę Freuda o

miłością, „są wcieleniem odar tego z kłamliwych pozorów gwałtu, nienawiści, żądzy mord”. Dla Geneta reprezentują one „całą bolesć świata”. Na tym samym festiwalu przedstawiono również szokujący film Aldricha „Co się zdarzyło Baby-Jane?” W filmie tym dwie sławne aktorki Joan Crawford i Betty Davis wcielają się w obłąkane postacie dwóch siostr, które nienawidzą się wzajem i pragną zamordować jedną drugą. W filmie Siodmaka „Mroczne zwierciadło” Olivia de Havilland gra rolę dwóch siostr bliźniaczek, z których jedna jest niernormalna i chce zamordować drugą, w międzyczasie zabijając jej, a raczej wspólnego adoratora. Sek w tym, że nikt nie potrafi rozróżnić obu siostr i policja oraz profesor-specjalista od problemów bliźniat, długo się namęczą zanim wykryją, która z siostr jest tą „złą”.

Głośny film Felliniego „8 i pół” stanowi niewątpliwie arcydzieło czegoś, co można by nazwać „autopsychocząłką”. Fellini wprowadza widza w wewnętrzny świat artysty, przeżywającego głęboką depresję, kryzys nerwowy, wywołany niemocą twórczą, czy też leżący u źródła tej niemocy. W formie retrospekcji, obsesyjnych halucynacji, sennych urojeń odkrywa skomplikowany mechanizm życia psychicznego, powstawania i nawarstwiania się dążeń, marzeń, zahamowań, urazów i kompleksów.

Piękny film Kawalerowicza „Matka Joanna od Aniołów” stanowi również świadectwo głębokich zaburzeń natury psychicznej, nekających „nawiedzonych przez Szatana” zakonnic.

W filmie o Van Goghu „Pasja życia” — reżyser Młelli analizuje poszczególne stadia narodzin i narastania obłędu wielkiego malarza. W „Moby Dicku” Hustona, Gregory Peck kreuje postać kapłana „opętanego” ideą otkonania Białego Wieloryba. „Obywatel Kane” Wellesa jest ilustracją przypadku skrajnej megalomanii. Inny patologiczny casus na pograniczu megalomanii ukazuje Wilder w „Bulwarze zachodzącego słońca”. Gloria Swanson nie potrafi się przystosować do życia pozbawionego blasku jupiterów i sławy. Żyje w świecie kłamstwa i obłędu, po to by na koniec pogrążyć się całkowicie w mrokach obłąkania. Podobnie jak inna gwiazda, Kim Stanley — bohaterka amerykańskiego filmu „Bogini”.

Film bardzo często lubuje się również w pokazywaniu wszelkiego rodzaju sadyzów i psychopatycznych morderców. Niedawno oglądaliśmy na naszych ekranach „1000 oczu doktora Mabuse”. Przed laty Lang zrealizował okrutnego „M” („Morderce”) z Peterem Lorre w roli głównej.

Hathaway w „Podwórku śmierci” stworzył postać mordercy dla przyjemności. W „Cieniu podejrzenia” Hitchcocka Cotten, uwodzi i zabija kobiety podobnie jak Charles Denner w „Landru” Chabrola. Typowym filmem sadyzycznym, którego bohater zna ca się nad całym otoczeniem, był „Garaż śmierci”. Niesamowita historia obłąkanego zabójcy opowiada stary mistrz napięcia i grozy, Hitchcock w „Psychozie”.

Można by jeszcze w nieskończoność przytaczać tytuły i nazwiska. Świat psychopatologii, jest, jak już wspominałem, bardzo „filmowy”. Twórcom, pozwala na szukanie nowych, pełnych ekspresji rozwiązań artystycznych, w dziedzinie dostarcza zawsze pożądanego dreszczyku emocji i grozy. Ponadto jednak filmy poświęcone przypadkom zaburzeń psychicznych i chorób umysłowych spełniają ważną misję społeczną (o ile nie są potraktowane w sposób czysto sensacyjny). Zbliżają i pomagają zrozumieć ludzi, których dotknęło największe z możliwych nieszczęść.



M. Clift jako filmowy Freud

ulubionym światem ekspresjonizmu niemieckiego. Wielcy aktorzy filmowi marzą zawsze o rolach szaleńców, neurotyków, psychopatów, rola dających ogromne możliwości „wygrania się”. Wystar czy przypomnieć tylko świetne kreacje Oliviera w „Ryszardzie III”, Liz Taylor w „Nagle, ostatniego lata”, Vivien Leigh w „Tramwaju zwanym pożądaniem”, Ray Millanda w „Straconym weekendzie” itd. W tym ostatnim filmie Billy Wilder znakomicie ukazał świat odczuć nalogowego alkoholika, dał odczuć widzowi całą groźbę delirycznych przywidzeń i omanów. Dwa filmy: „Urzeczona” Hitchcocka i „Kłobowisko zmij” Litvaka otwierały przed widzem wnętrza klinik psychiatrycznych i pokazywały w sposób bardzo su gestywny skomplikowane przy padki zaburzeń psychicznych. Obfitująca w efektywne chwytły i momenty ścią hitcheockowskiego „suspense”, „Urzeczona” była zresztą przeciwieństwem okrutnego w swym realizmie filmu Litvaka, w którym niezapomnianą kreację nieszcześliwej, niernormalnej kobiety stworzyła Olivia de Havilland.

„Trzy twarze Ewy” reżyserii N. Johnsona przyniósł Oscara Joannie Woodward, grającej rolę kobiety cierpiącej na... rozstrojenie jaźni, wywołane jakimś głębokim wstrząsem psychicznym przeżyty w dzieciństwie. Film oparto na faktach autentycznych ujawnionych w USA w r. 1951.

W „Nagle, ostatniego lata” reż. Mankiewicz widzimy Liz Taylor jako kobietę dotkniętą poważnymi zaburzeniami psychicznymi na skutek szoku jakiego doznała będąc świadkiem tragicznej śmierci swego narzeczonego. Liz poddana zostaje długotrwałej kuracji psychoanalitycznej pod pieczą samego... Montgomery Clifta. W tymże filmie warto odnotować wielkiej miary kreację aktorską Katherine Hepburn jako na poły obłąkaną matkę narzeczonego Liz.

W arkanach psychoanalizy wprowadza nas również inny głośny film amerykański: „Wspaniałość na trawie” Kazana. Bohaterkę, graną przez

zwycięstwo jego poglądów i rewolucyjnych, na owe czasy, metod leczenia chorób psychicznych.

Wstrząsający dokument zrealizował Mario Ruspoli, kreując swój film bezpośrednio w klinice psychiatrycznej i nagrywając wypowiedzi chorych.

Wiele filmów poświęcono również przypadkom narkomanii i obsesji psychicznych, wstawalych na różnorakim tle. Frank Sinatra gra narkomana w filmie Premingera „Człowiek o złotym ramieniu”. Próbuje go ocalić zakochana w nim Kim Novak. Podobnie Don Murray w „Garści śniegu” zostaje morfinistką na skutek ran i przeżyć w czasie wojny koreańskiej. Od ostatecznego upadku ratuje go żona. Inne wcielenie narkomana demonstruje Daniel Gelin w „Niewolniku”.

Trudno się dziwić, że ze szczególnym upodobaniem traktuje film o sprawach z zakresu... przeżyć natury erotycznej. Wspomniemy tylko dwa filmy o patologicznych namiętnościach, oparte na sztukach Tennessee Williamsa: „Tramwaj zwany pożądaniem” i „Orfeusz w węzowej skórze”. Podobny, obsesyjny świat niezdranych namiętności i uczuć ukazuje Leslie Stevens we „Własności prywatnej”. Pewne typy zbrojeń erotycznych były tematem takich głośnych filmów jak „Dziwna obsesja” Ichikawy i „Wieczór na plaży”.

Duży rozgłos o nieco skandalicznym posmaku wywołał film francuski, prezentowany na tegorocznym festiwalu w Cannes „Otklanie” reżyserii Nico Papatakisa, oparty na autentycznym wydarzeniu, które posłużyło również jako kanwa „Służących” Geneta. Dla Sartra bohaterki „Otklanie” na poły obłąkane służące związane w dodatku lesbijską



Dalich Levi w filmie „Wieczorem na plaży”

Zbrodnia na wesole

W aktualnym repertuarze filmowym, stojącym jak wladom pod znakiem przewagi filmów rozrywkowych, na wyróżnienie zasługuje komedia kryminalna reż. Mario Camerini'ego „ZBRODNIA”, zrealizowana przy udziale tak popularnych aktorów jak Silvana Mangano; Bernard Blier, Vittorio Gassman, Dorian Gray i Alberto Sordi. Camerini użył w swym filmie sensacyjnej, kryminalnej fabuły, jako pretekstu do rozegrania komedii obyczajowej na temat „jak skutecznie unikać kontaktów z oleją i wykażać się prawdziwym alibi”. Bohater w filmie „ustawił” w trzech parach, w miarę sensacyjnie, a jednocześnie bardzo humorystycznie, z pewną dozą ironii „rzucając” podejrzenie o dokonanie morderstwa na bogatego arystokratę. Trzy pary pochodzą z różnych warstw społecznych; różnie reagują na ingerencję Inspektorów z policji, niemniej jednakowo są zainteresowane w zdobyciu pieniędzy w grze w ruletkę w Monte Carlo. Miejsce akcji posłużyło reżyserowi do osłabienia dodatkowych ścieżek dramatycznych, a przede wszystkim rozegrania komediowych sytuacji. Wśród tych o-

MIESZANKA FILMOWA

statnich kapitalną jest sekwencja gry w kasynie, w której uczestniczą Alberto Sordi, Vittorio Gassman i Silvana Mangano. Chyba dzięki nim film Camerini'ego zyska u każdego widza polskiego.

Na szczególną uwagę zasługują aktorstwo Alberto Sordiego, które choć znane z szeregu filmów nie nudzi, a przeciwnie jest stale interesujące i świeże. Środki aktorskie jakich używa Sordi — tak różnorodne, że znakomity aktor rzeczywiście unika owej monotonii środków w jaką popadł na przykład Fernand, z którym filmy nie stawały już dzisiaj takiej atrakcji, co w okresie wyświetlania pamietnej „Czerwonej oberży”. „Zbrodnia” Camerini'ego zawiera oczywiście, jak sugeruje tytuł zagadkę dla widzów „Kto zabił?” Dla jednej grupy widzów będzie więc niezwykle fraputującym filmem sensacyjno-kryminalnym, a dla innych świetną komedią, w której autorzy użyli kryminalnych akcesoriów i sytuacji dla poprawienia kapitalnej zabawy.

ALEKSANDER NIESMIAŁEK

odgłosy str. 3

Oprac. M. K.

Z GŁOWĄ NA KARKU

Dalszy ciąg ze str. 1

zgrzeblarek. Okazało się, że w miejsce trzech, można po pewnych zmianach konstrukcyjnych, zastosować tylko dwie maszyny, a mimo to produkcja zwiększyła się o 30 procent, uzyskując o połowę więcej miejsca w hali i oszczędności w wysokości — ni mniej ni więcej — 25 milionów złotych. Oto zalety systemu „tandem”.

Zresztą nowe rozwiązania konstrukcyjne i usprawnienia maszyn to tylko jedna z części wystawy, składającej się z ośmiu działów. Niezwykle interesujący jest dział nowych technologii i produktów. Zatrzymajmy się tutaj na chwilę.

OD TĘTNIC DO LAMINATÓW

Właściwie tradycyjną nazwę „przemysł włókienniczy” powinno się jak najszybciej odstawić do lamusa. Ten przemysł produkujący bowiem, lub będzie wkrótce produkował takie na przykład wyroby, jak: wykładziny do samochodów, statków i wagonów; naczynia krwionośne i inne „części zamienne” dla człowieka; dachówkę i płyty paździerzowe.

Interesująca są pomysły racjonalizatorskie w dziedzinie tkanin technicznych. Na przykład w ZPW im. 9 Maja w Łodzi opracowano metodę produkcji tkaniny kwasoodpornej z resztek wełniano — elanowych, co przyniesie kolosalną oszczędność 12 złotych na jednym metrze bieżącym.

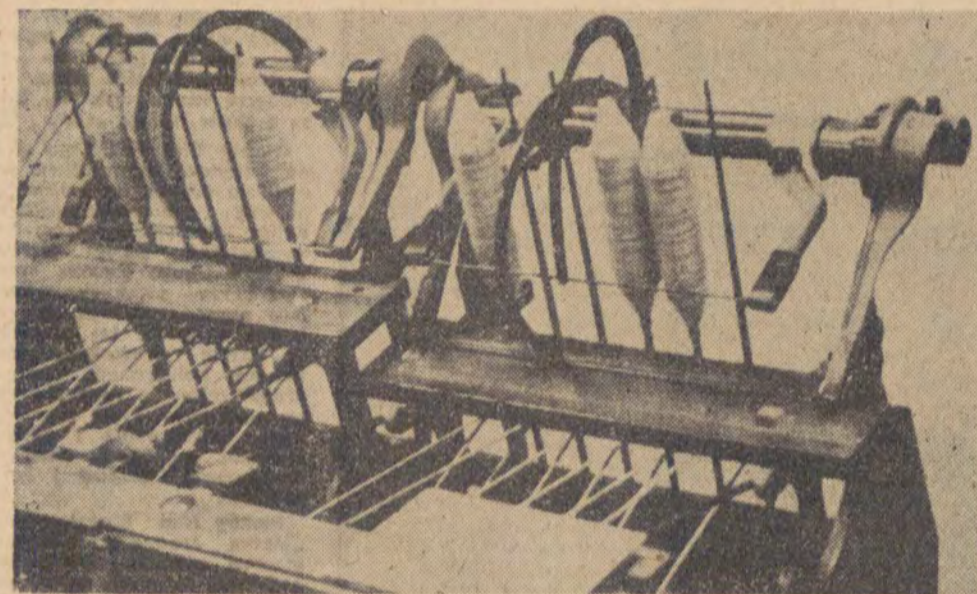
Okazało się, że tzw. pasy spadowe dla przemysłu koksachemicznego wcale nie muszą być produkowane z najlepszej wełny nowozelandzkiej, znacznie lepiej — stwierdzono w Bielskiej Fabryce Lin i Pasów — spisuje się krajowe włókno poliestrowe. We Wrocławiu zamiast pasów wełnianych, sporządzono równorzędne z bawełny, powlekaną polichlorkiem winylu. W Żyrardowie do produkcji tkanin na taśmociąg użyto taniej bawełny radzieckiej w miejsce drogiej — długowłóknistej z Egiptu. Tylko te trzy usprawnienia przynoszą oszczędności 50 milionów złotych, pozwalają zrezygnować z importu maszyn i surowców, co dotychczas pochłaniało „grube dewizy”.

Pomysły idą o lepsze ze sobą również w dziedzinie materiałów ubraniowych. Wystarczy wymienić igły w pewnej maszynie dziewiarskiej i oto w ZPDZ im. Findera w Łodzi uzyskano możliwość produkcji dzianin „frote”. Ale to osiągnięcie, choć niewątpliwe, pozostaje w cieniu wobec ostatniego „krzyku techniki” — tkanin i dzianin laminowanych, czyli inaczej podklejanych pianką poliuretanową. Z wierzchu coś takiego wygląda „normalnie”, zaś od spodu ma cienką warstwę jakby gąbki. Nadaje się świetnie na płaszcze, kostiumy, jest lekko ciepłe i przewiewne. Kto nie wierzy, może obejrzeć na wystawie piękny kostium damski. Identyczny powędrował niedawno do Związku Radzieckiego jako prezent od łódzkiego włókiennika dla Walentyny Tierieckowej.

Inne z najnowszych osiągnięć, to włókna — materiał który powstaje bez tkaniny czy dzianiny — prosto sprasowane włókno. Piękne wzory, możliwość produkcji z najróżniejszych surowców.

Racjonalizatorzy przyczynili się również do opanowania produkcji pędów

Urządzenie to jest doskonałym przykładem zrealizowania jednego z za-



Z lewej strony maszyny wrzeczona zamocowana sposobem tradycyjnym, z prawej lawa wrzeczonowa obniżona, przez co na każde wrzeczono można nawinąć o 12 proc. więcej przędzy.

antyreumatycznych, pończoch przeciwwzmęzających i ortopedycznych. Liczne reprezentowane są na wystawie nowe rodzaje przędzy, usprawnienia z zakresu farbowania i druku tkanin.

Oczywiście, niecierpliwemu czytelnikowi z miejsca nasuwa się pytanie. Kiedy to wszystko będzie można kupić? Chyba poszczególne przeboje będą się pojawiać pojedynczo i niespostrzeżenie wchodzić do „reperuaru”, jak to się na przykład stało z ortallionem. Przypuszczam, że gdyby wszystkie ukazały się na rynku równocześnie, spowodowałyby nieobliczalną w skutkach rewolucję sposobów ubierania się. Wówczas z produkcją nowych tkanin i szytym odzieży nie nadążyłyby nawet przemysł o dziesięciokrotnie większej wydajności, niż nasz. Więc może lepiej stopniowo?

Pora jednak od refleksji wrócić na wystawę. Pozostał nam do zwiedzenia ciekawy raczej dla fachowca, niemniej bardzo istotny dział tworzyw sztucznych. Zgromadzono tu 27 eksponatów, przeważnie elementów maszyn włókienniczych, które wykonuje się z drogich metali kolorowych, a które z doskonałym skutkiem mogą być produkowane z tworzyw sztucznych. Odpada kłopotliwa obróbka mechaniczna, wystarczy sprowadzić formę i wypełnić ją masą plastyczną. Przy czym okazuje się, że tworzywa sztuczne w większości wypadków mają znacznie większą (6 do 7 razy) trwałość.

Wreszcie na zakończenie odbywamy krótką przejażdżkę elektropociągami skonstruowanym w ZPW im. Gwardii Ludowej. Jest to zespół wózków, zawieszonych na metalowej szynie, ułatwiający znakomicie transport wewnętrzny w fabryce. Ładowanie bardzo ułatwione, bo wózki zwisają niemal do samej ziemi. Umieszczona obok puszcza z aparatem sterowniczym.

pozwala odesłać przesyłkę do określonego działu w zakładzie bez asysty konwojenta. Ponieważ pociąg posuwa się w ciasnocie hal fabrycznych i łatwo może o coś zawadzić, zaopatrzone zostały w czujnik elektryczny, który zatrzymuje go po napotkaniu jakiegokolwiek przeszkody.

Urządzenie to jest doskonałym przykładem zrealizowania jednego z za-

zapewniamy klubom apłecę fachową, organizując co 2 miesiące spotkania, na których przedstawiamy aktualne zadania, sugerujemy tematy.

Corocznie organizujemy konkursy z nagrodami. W roku ubiegłym przyjechaliśmy do oceny konkursowej 112 wniosków, już wprowadzonych do produkcji. Z udziału w konkursie wynika, że ruch racjonalizatorski na terenie Łodzi najlepiej rozwija się w branżach: jedwabniczo-dekoracyjnej, bawełnianej i czesankowej.

W następstwie uchwał IV i X Plenum KC PZPR, ruch racjonalizatorski znalazł dla siebie bardzo korzystny klimat. Zakłady starają się otaczać opieką swoich wynalazców, chętnie służą funduszami na wykonanie modeli (dzięki temu, m. in. mogliśmy zorganizować wystawę). Okres od opracowania wniosku do zatwierdzenia go, uległ skró-

niu do mniej więcej dwóch miesięcy. Uporządkowano sprawy premiowania racjonalizatorów.

W dobrym klimacie, w atmosferze zainteresowania zakładów postępowym technicznym, tym ostrzej ujawnia się podstawa obecnej bolączki — brak baz wykonawczych, które pozwalałyby na masowe rozpowszechnianie pomysłów. Wygląda to tak: jeżeli w moim zakładzie (nasz rozmówca jest głównym inżynierem ZPB im. Obrónców Westerplatte) racjonalizator opracuje jakiś pożyteczny detal, to my za wszelką cenę, pokonując niezliczone trudności materiałowe i inne, wykonujemy ten detal we własnych warsztatach. Z kolei pomysły przejmujemy od nas inna fabryka i zacy na się szczegóły od początku. To nie jest nawet produkcja systemem gospodarczym, to po prostu chałupnictwo. Tymczasem jedna baza mogłaby bez trudu uruchomić produkcję seryjną dla całego przemysłu.

Stworzyliśmy już przesłanki dla rozwoju racjonalizatorstwa, pora teraz stworzyć warunki. Nie trzeba przecież wiele mówić na temat, jak wielkie korzyści przynosi ten ruch. To po pierwsze — usprawnienie produkcji i milionowe oszczędności, po drugie i równie ważne — szkoła aktywności, zaangażowania.

Od siebie możemy jeszcze dodać przypuszczenie, że tak starannie zorganizowana wystawa przyczyni się z pewnością do rozpowszechnienia wielu konkretnych wynalazków, a z drugiej strony — stworzy w przemyśle włókienniczym nowe szanse dla wykorzystania zapału i pomysłów tysięcy ludzi „z głową na karku”.

JULIAN BRYSZ

„Chcą — że Rosjanie wojny?”

Dalszy ciąg ze str. 1

lo. Wspomnijmy tylko o Glince, pierwszym lotniku — Jegorowie bohaterze walk o Berlin — który zatknął czerwony sztandar na dachu Reichstagu, czy też pierwszym kosmonaucie świata — Gagarinie. O nich to — bliskich sercu krajanach — mieszkańcy ziemi smoleńskiej mogą opowiadać całymi godzinami. O żadnym nie zapominają, każdego czczą, jak na to zasłużył. Tak więc rokrocznie odbywa się w Smoleńsku Festiwal muzyki Glinki, w muzeum zaś jest gablota poświęcona Gagarinowi. Zgrupowano w niej niektóre przedmioty osobistego użytku, którymi posługiwał się w rodzinnym domu pierwszy kosmonauta, notatki szkolne, depeche gratulacyjne i znaczki pocztowe, wydane w różnych krajach po zwycięskim locie. Miasto pamięta o swych wielkich ludziach.

Smoleńsk nazywany często „miastem nad Dnieprem”, który w historii przeżywał tyle chwil grozy i wzruszeń, tętni dziś pokojową pracą. Nie tylko odbudowano go z gruzów, ale i rozbudowano. Powstały liczne nowe zakłady. Dają one 40% produkcji przemysłowej województwa. Kombinaty lnarski, odzieżowy, pończosznicy są dumą miasta.

Wielkie zakłady przemysłowe rozsiadły się również w innych miastach Smoleńszczyzny: Jarcewie, Safanowie, Wiaźmie. Większość z nich jest młoda wiekiem, ale już bogata doświadczeniem. Jak z miesiąca na miesiąc powiększać produkcję i lepiej uczestniczyć w rywalizacji nie tylko dwóch wielkich krajów, ale i dwóch systemów.

Nie, nie są to tylko wielkie słowa. Świadomość celu w ekonomicznym współzawodnictwie, znajomość dzisiejszych i jutrzejszych zadań jest jedną z najbardziej znamienitych cech radzieckich ludzi. Wystarczy zatrzymać się na chwilę przy jakimkolwiek stanowisku pracy w jakimkolwiek zakładzie, by przekonać się o sobie, że każdy robotnik jest w tej dziedzinie doskonale zorientowany.

Współzawodnictwo ekonomiczne najbardziej widoczne jest jednak na radzieckiej wsi.

Hasło: „dośćgnąć i prześcignąć” przybiera konkretnie kształty przede wszystkim w niezwykle burzliwym rozwoju hodowli. Obserwo-

wać to można również na Smoleńszczyźnie.

Piękna, licząca 800 krów obora sowchozu „Kamieński”, wielka ferma kaczka kołchozu im. Radiszewa, czy kurza sowchozu „Talaszkino” (130 tys. białych jak śnieg kur rasy rosyjskiej) — to tylko nieliczne tego przykłady. Zadziwiający — wszystkie te obiekty powstały dopiero w ostatnich latach i są realnym dowodem włączenia się radzieckiej gospodarki rolnej do pokojowego współzawodnictwa Wschodu z Zachodem.

O powodzeniu tej rywalizacji przede wszystkim decydują jednak ludzie. Na Smoleńszczyźnie były liczne okazje, by poznać ich z bliska. I w czasie oficjalnych spotkań, kiedy z niekłamany zaciekawieniem słuchali o Polsce — o naszych osiągnięciach i kłopotach, i w czasie tych nieoficjalnych — na polach kołchozowych, czy też przy warsztatach pracy.

Nie będzie w tym ani słowo „miastem nad Dnieprem”, który w historii przeżywał tyle chwil grozy i wzruszeń, tętni dziś pokojową pracą. Nie tylko odbudowano go z gruzów, ale i rozbudowano. Powstały liczne nowe zakłady. Dają one 40% produkcji przemysłowej województwa. Kombinaty lnarski, odzieżowy, pończosznicy są dumą miasta.

Chętnie dzieli się swoimi doświadczeniami, ale równie chętnie korzysta z doświadczeń innych.

Jakby symbolem tego jest polski łubin i bobik, które za rada łódzkiej specjalistów rolnych i z dostarczonej przez województwo łódzkie nasion — bujnie wyrosły na smoleńskich polach. Doprawdy — to bardzo przyjemne, kiedy obok wysokich po piersi upraw znajduję się skromna tabliczka, informująca, że to właśnie polskie rośliny.

Podziękujcie polskim przyjaciółom, powiedzcie, że dobrze nam poradził...

Nade wszystko jednak ludzi radzieckich cechuje gorące umiłowanie pokoju. Każda rozmowa, prawie każdy toast nawiązuje do tej najdroższej wszystkim ludziom sprawy.

Czy dziwić się temu? Smoleńska ziemia dziesiątki razy krwawiła w swych dziejach, dziś dymiąca kominami fabryk, pokryta bujnymi łanami zbóż — dobrze zna wartość pokoju. I może dlatego właśnie na tej ziemi szczególnie mocno brzmi wstrząsająca melodią wielka pieśń pokoju: „Chcą — że Rosjanie wojny?”

WIESŁAW BEK



Smoleńsk — hotel „Smoleńsk”



**ZBIGNIEW
KUWALEWSKI**

Doktor Che Guevara pisze w „Wojnie partyzanckiej”: „działalność partyzancka powinna się rozwijać w okolicach wiejskich i słabo zaludnionych. W tych zaś regionach walka rewolucyjna ludu toczy się głównie albo wyłącznie o ziemię. Oznacza to, że partyzant jest przede wszystkim bojownikiem rewolucji agrarnej. Wyraża on dążenia chłopów do władania ziemią, którą uprawia, środkami produkcji, żywym inwentarzem, tym wszystkim, jednym słowem, co stanowi jego życie”.

2 stycznia 1959 roku, gdy kolumny brodatej armii chłopskiej dowodzonej przez Fidela i Raula Castro, Che Guevarę i Camilo Cienfuegosa wkraczały do miast kubańskich, Ameryka Łacińska przeszła próg nowej ery. Na miejsce feudalnych oligarchii i kast militarnych, faszystujących meżów opatrnościowych i caudilloów z mistycznym programem wystąpił lud, jako rewolucyjna siła zbroj-

na, która uzyskała możliwość pokierowania swoim losem i której dano broń do obrony tego losu. Na oczach Ameryki Łacińskiej, śledzącej z zapartym tchem epopeję garski szalenców wzrosła w przeciągu dwóch lat w ludową armię, pogłębiając się radykalizm rewolucji kubańskiej drogi do socjalizmu. Półtora miliona Kubańczyków na placu im. Jose Martí w Hawanie uchwalając dekret o reformie rolnej, a w trzy lata później Drugą Deklarację Hawańską, przemawiało głosem ludów Ameryki Łacińskiej.

Internacjonalistyczny charakter rewolucji kubańskiej oczywisty jest dla narodów zamieszkujących obszar od dusznych pustyń Meksyku po zielone pampy Argentyny. Doktor Ernesto Guevara, słynny „Che”, argentyński lekarz, stał się jednym z czterech najwybitniejszych przywódców kubańskiej Armii Powstańczej i pełni dziś wcale odpowiedzialną funkcję ministra przemysłu. Dwaj piloci nikaraguańscy, Carlos Ulloa i Ernesto Guerrero, przybyli na Kubę, żeby zasilić niośle kadry rewolucyjnego

lotnictwa wojskowego. Porucznik Ulloa poległ śmiercią bohatera dokonując braurwego ataku powietrznego na barki desantowe kontrrewolucjonistów na Playa Giron. Porucznik Guerrero, który ledwie uszedł z życiem z tych operacji, powrócił później do ojczyzny. Usłyszymy o nim zapewne, gdy wybieje godzina rewolucji w Nikaragui...

Zawrotne tempo przemian na Kubie, jakich świadkiem jest Ameryka Łacińska, gwałtownie polaryzuje poglądy szczególnie młodzieży, studentów, młodej inteligencji. Potencjalny co najwyżej sympatyk lewicy po paru tygodniach pobytu na Kubie wraca do kraju zarazyony radykalizmem rewolucji, wraca jako natchniony „wywrotowiec”, któremu robota pali się w rękach. Pamiętajmy: w ciągu minuty

wolucyjnej. W okręgu Taucayo konferuje z chłopami, pragnąc włączyć ich do rozwijającego się ruchu partyzanckiego. Mógł być Fidelem Kolumbii... Niestety, ginie z ręki kryminalisty, najemnego mordercy El Aguilillo, który otrzymał za ten mord 6000 dolarów od skrajnie reakcyjnego sprzyśnięcia „Czarna Ręka”.

Zadza działania roznosi się po całej Ameryce Łacińskiej. Patrioci reagują coraz gwałtowniej na imperialistyczną eksploatację, penetrację obcego kapitału i brak narodowej gospodarki, na dyktatury militarne stojące na straży starego porządku i „demokracji reprezentatywnej”, na terror band opłaczanych przez feudalów, na głód ziemi i śmierć głodową, na półniewolniczą sytuację chłopstwa indiańskiego. Coraz potężniejsze akcje

W peruwiańskiej dolinie Convencion związku chłopów pańszczyźnianych założone przez studenta Hugo Blanco formują pierwszy oddział partyzancki przyszłej armii wyzwolenczej.

W chwili bieżącej w pięciu krajach szerzą się już buntury chłopskie przybierające formy walk partyzanckich: w Gwatemalii, Kolumbii, Wenezueli, Peru i Paragwaju. Hasło jest wszędzie to samo: Tierra o Muerte, Ziemia lub Śmierć. Innej alternatywy nie ma.

Jednocześnie antyfidelizm obszarnictwa, burżuazji i klik militarnych osiąga na całym kontynencie stadium hysterii. Brodaci agenci Castro uganiają się w ich wyobraźni w sierra, selva i llano buntując chłopów, siejąc terror i propagując wojnę wywrotową. Rzecznik reakcji, gubernator brazylijskie-

brojce grupy terrorem odpowiadają na terror i obozy koncentracyjne, lecz brak współdziałania między siłami demokratycznymi utrudnia stworzenie armii partyzanckiej zdolnej zadać cios dyktaturze obszarników i reakcji wojskowej.

Niektórzy przywódcy partyzancy w Ameryce Łacińskiej spotykają się ze strony komunistów z zarzutem braku kontaktów z masami, zaniedbywania pracy politycznej mobilizującej masę ludową, przenoszenia całego ciężaru walki na partyzantów i akcje zbrojne w ogóle, a nawet z zarzutem awanturnictwa. Kulminacyjnym momentem walki rewolucyjnej jest strajk generalny druzgocący reżim klas posiadających, o czym pisze zreszła Che Guevara w „Wojnie partyzanckiej”. Strajk

NIE MA INNEJ DROGI



czterech ludzi umiera z głodu w Ameryce Łacińskiej, w ciągu minuty cztery tysiące dolarów ucieka z Ameryki Łacińskiej do północno-amerykańskich banków i kieszeni. Jedna śmierć za tysiąc dolarów, cztery razy na minutę... Z zapartym tchem inteligent, robotnik, przywódca chłopski, politykają kilkadziesiąt stron książeczki Che Guevary — „Wojna partyzancka” — zakazanego przez rządy bestsellera o tym, jak źle uzbrojony lud kubański rozbił nowoczesną armię regularną pozostającą na żołdzie klas posiadających. Zaczynają egzemplarze, wydane w nielegalnych drukarniach, krają, z ręk do ręk. Czyta Guevarę biwakujący w górach i w dżungli żołnierz Sił Zbrojnych Wyzwolenia Narodowego w Wenezueli i Frontu Partyzanckiego „Alejandro de Leon” — 13 listopada w Gwatemalii, przywódca chłopskiej partyzantki w Kolumbii i zbuntowanych Araukanów w Chile, organizator związków zawodowych wśród chłopów pańszczyźnianych w Peru i Ekwadorze, partyzant paragwajski.

Dr Manuel Araujo, były minister spraw zagranicznych w reakcyjnym rządzie ekwadorskim Velasco Ibarry, po powrocie z podróży na Kubę nie zadowolona się już chwilowym demokratyzmem rządu Arosemany, lecz deklaruje się jako rewolucjonista i usiłuje skupić wokół siebie radykalne kręgi młodzieży. Młodzież nie ufa mu, pamięta przeszłość...

Młody Kolumbijczyk Antonio Larrota, działacz studencki i chłopski, wraca z Kuby pełen wrażeń, energii i pragnienia działalności re-

strajkowe pobudzają do działania wieś skutą okowami pozostałości feudalizmu.

W Ekwadorze w głębokim milczeniu stoja tłumy demonstrowujących huasipungueiros, chłopów pańszczyźnianych dzierżawiących dwie cuadry ziemi, dwieście metrów kwadratowych piasku. Trzymają nad głowami transparenty głoszące: „Tutaj są Andy, góry rebelii w Ameryce Indiańskiej!” Ich milczenie zwiastuje czas walki.

W Brazylii socjalista i katolik Francisco Juliao, przywódca Lig Chłopskiej i entuzjastyczny zwolennik Fidela, stawia władzom ultimatum: reforma rolna albo rewolucja głodujących chłopów Południowego Wschodu.

W Zacatepec w Meksyku głosiciel hasła reformy rolnej i wybitny przywódca chłopski Ruben Jaramillo, domagający się realizacji idei Emiliano Zapata, zostaje w czerwcu 1962 roku zamordowany wraz z rodziną przez wojskowych.

W Marquetalia w Kolumbii źle uzbrojeni partyzanci Partii Komunistycznej pod wodzą Juana de la Cruz Varela stawiają czoła samolotom i czołgom broniąc od 13 lat ziemi, którą wydarli latyfundiści. Aktywizują się oddziały partyzanckie Ruchu Robotniczo - Studencko-Chłopskiego.

W Chile Araukanie wegetujący w nieudzielnich warunkach na skrajach pustyń mówią: dość! Kierowani przez kacyka Juana Millacheo i białego robotnika rolnego Juana Villegasa z bronią w ręku zdobywają latyfundiów w Chiguaygue, wyszczęplając właścicieli i gotowi są bronić swej zdobyczy do ostatniej kropli krwi.

go stanu Guanabara, Carlos Lacerda woła o infiltracji komunizmu wymachując jako dowodem egzemplarzem „Wojny partyzanckiej”. W Peru robotnik domagający się podwyżki płac, chłop żądający kawałka ziemi i analfabeta pragnący pościć tajemnicę czytania i pisania, są agentami Castro i komunistami, których przeznacza się do eksterminacji. Na Haiti broda jest synonimem działalności rewolucyjnej i nie wolno jej nosić, a nieposłuszny aresztuje się na ulicy i w komisariacie wyrwa brode wymazawszy ją przedtem w kleju.

Wzrzenie przechodzące przez Amerykę Łacińską ogarnia nie tylko bezrolne chłoptwo, ale udziela się młodzieży i inteligencji, przede wszystkim zaś proletariatu miejskiemu. Natchniętą dekturą „Wojny partyzanckiej” patrioci pragną natychmiast przystąpić do walki. W górach wschodniej części Gwatemalii porucznik Yon Sosa tworzy bazy Frontu Partyzanckiego „Alejandro de Leon” — 13 listopada, w Nikaragui uciekają w lasy patrioci pragnący wskrzesić tradycje generała Sandino, bohatera wojny partyzanckiej z interwencją amerykańską w latach trzydziestych. W Wenezueli powstają aż cztery bazy partyzanckie na prowincji oraz oddziały ruchu oporu w miastach, które jednoczą się w Siły Zbrojne Wyzwolenia Narodowego. Baza oporu w Falcon, gdzie dowodzi członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Wenezueli Douglas Bravo, legendarny komendant „Andres”, jest od kilkunastu miesięcy nie do zdobycia. W Paragwaju od czterech lat

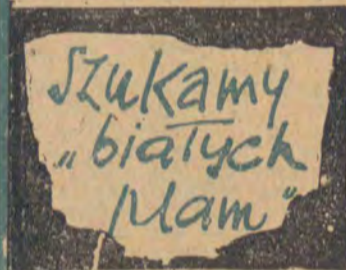
generalny nie nastąpi zaś bez zakrojonej na szeroką skalę pracy politycznej jednoczącej wszystkie w kraju siły demokratyczne. Na to komuniści otrzymują odpowiedź, że podobne zarzuty stawiali Fidelowi, a potem wielu najwybitniejszych przywódców komunistycznych poszło do jego partyzantki.

Te występujące tu i ówdzie rozbieżności nie są jednak najistotniejsze, wszędzie bowiem następuje konsolidacja sił lewicy rewolucyjnej z komunistami włącznie. Za przykładem Kuby coraz szersze kręgi robotników i chłopów, studentów i intelektualistów grupują się w jednolitym frontie i coraz szersze kręgi podnoszą się pod Drugą Deklaracją Hawańską, o której powiedział ktoś, że jest manifestem komunistycznej Ameryki Łacińskiej.

Ciężkie warunki życia partyzanckiego stanowią szkołę życia eliminującą element przypadkowy, niezdolny do podłożenia trudom i niezdecydowany. Ci, którzy pozostaną w partyzance, utworzą zwarty kolektyw, kadre przyszłej armii rewolucyjnej. Codzienna praktyka wojny pozwoli nawet mniej dojrzałym działaczom zrozumieć potrzeby pracy politycznej. Dzięki niej pierwsze potyczki izolowanych grup partyzanckich przerosną z czasem w potężny ruch społeczny o charakterze antyimperialistycznym i narodowym ale i realizującym klasowe interesy proletariatu miast i wsi.

Bowiem dla Ameryki Łacińskiej nie ma już innej drogi.

W Wieruszowie czystość i kultura na pierwszym planie



Wieruszów, aczkolwiek niewielki, bo liczący zaledwie około 4.000 mieszkańców, robi na przybyszu wrażenie miasteczka dobrze zagospodarowanego i schludnego. Czyste ulice, murywane, piętrowe budynki, zarówno mieszkalne jak i przeznaczone na urzędy, instytucje, lokale rozrywkowe itp. różnią się bardzo swoim wyglądem od zabudowań, jakie najczęściej spotkać można w małych miasteczkach i osadach. Wie-

lu mieszkańców Wieruszowa dojeżdża do pracy do Wrocławia, Kępna, Oleśnicy, Wielunia, natomiast niektórzy wieluniacy znajdują zatrudnienie w Wieruszowie. Wygodna komunikacja autobusowa sprzyja takiej wymianie sił roboczych. Poza budową dużych zakładów odzieżowych, w których zatrudni się około 700 osób, w tym

głównie kobiet — o czym donosiła już codzienna prasa — zostanie oddana do użytku w IV kwartale br. nowa hala produkcyjna przy przemyśle terenowym. Będzie to hala galanterii metalowej, w której znajdzie zatrudnienie około 230 mężczyzn, fachowców z dziedziny metalowej. W powiecie wieruszkowskim rozsiągniętych jest 15 kiosków

„Ruchu”, z tego w mieście tylko cztery. Jest godzina 10 — w kioskach nie ma już „Głosu Robotniczego”. Zatrzymuję się dłużej przed kioskiem nr 31 przy ulicy Warszawskiej.

— Dzisiaj to był u mnie ruch — mówi kioskarz — nawet poczęte obsługiwałem. Wykupili mi cały nadział „Głosu Robotniczego”, aż zabrakło dla stałych klientów.

Rzeczywiście, jak się później dowiedziałam na poczekaniu, „Głos Robotniczy” przychodził tu w ciągu dwóch dni z jednodniowym opóźnieniem i pocztą — chcąc dostarczyć swoim prenumeratom na czas prasę — zmuszona była szukać ratunku w kioskach „Ruchu”. Normalnie, prasa łódzka dociera do Wieruszowa o godz. 7.30. — W kioskach jest już o godz. 8. Nadziały na poszczególne kioski są tu raczej niewielkie, ale trzeba pamiętać, że i mieszkańców nie ma dużo. Niezależnie od tego wielu wieruszkowian zapoatrjuje się w prasę codzienną we wczesnych godzinach rannych, w tych miejscowościach, do których jeżdżą do pracy, przeważnie w kioskach dworcowych. Ogólnie biorąc — mam na myśli sprzedaż kioskową i prenumeratę — nastąpił w mieście i powiecie pewien wzrost czytelnictwa prasy, w stosunku do roku 1961. W prenumeracie pocztowej np. jest wszystkich tytułów ponad 945 egz., w tym w samym mieście 517 egz., a około 450 na wsi.

Korzystając z zaproszenia towarzyszy z Komitetu partii i Prez. PRN idę obejrzeć pomieszczenia w Powiatowym Domu Kultury. Jest tu sala multimedialna z pięknym urządzeniem plastikowym, sala telewizyjna na 60-80 miejsc, sala teatralna (360 miejsc), przy której mieści się również mała kawiarenka, gdzie można potańczyć przy dźwiękach własnej orkiestry. Jest garderoba, pracownia itd., itp. W Powiatowym Domu Kultury oprócz stałych zebrań, narań i odczytów TWP odbywają się wieczory literackie z udziałem łódzkich pisarzy. Często organizowane są różnego rodzaju wystawy,

koncerty, imprezy teatralne, tak w wykonaniu własnym, jak i artystów przyjezdnych. Przy PDK istnieje i rozwija swoją działalność kilka zespołów i kółek jak: zespół teatralny, zespół „żywego słowa”, zespół taneczny, muzyczny starszych i młodszych, zespół estradowy, dalej kółko techniczne, fotograficzne, filatelistyczne, plastyczne oraz czynny jest także klub brydżowy.

Kłopotów w PDK nie brakuje. Kierownik R. HERSKI ma je przede wszystkim z kadrą instruktorską, której, jak zwykle zawsze brak. No, ale nie ma co narzekać, takiego Domu Kultury jak w Wieruszowie pozazdrościłby młodzi z niejednego miasteczka, np. młodzi z Pajeczna, która nie ma nawet świetlicy.

K. O.



BIOLOGIA LITERATURY

Dalszy ciąg
ze str. 1

doskonałości rodzicielem, nie tylko z grecką wizją urodziny, sprawiedliwej śmierci, ale także z ową współczesną śmiertelnością zagrażającą wszystkim ludziom i całej kulturze.

III

Tam, gdzie toczy się ostra, prawdziwa walka — tam nie ma rozkoszy, brak tam także zwycięży — przegranywa o obie strony. Wydać by się mogło, że zwycięzca zostaje ktoś trzeci, ktoś kto z tej walki powstał. Każde dzieło literackie godne by się nim zająć, jest czymś więcej i czymś mniej niż sobą — jest sobą pierwotnie nie zrealizowanym, jest sobą i jest odnotowaną historią walki o siebie. I to potwierdza trafność biologicznego widzenia dzieła literackiego — jego silnego do granic tożsamości doprowadzonego powinowactwa z żywymi organizmami: Sokrates jest Sokratesem i chodzącą historią walki o Sokratesa, walki widocznej w jego twarzy, w jego rękach — to, że przed sądem Sokrates stał przeciw Sokratesowi była to także walka o Sokratesa, o wyższego, pomysłanego Sokratesa, Sokratesa niegdys czynionego i świadczącego czynami — była to walka o Sokratesa jako u postaćowanie humanizmu i tam także zwyciężył ktoś trzeci — powstały w walce, ktoś kto inną trudno mi niezmiernie w tej chwili wymienić, bowiem nawet mój felietonik walczący ze mną, walczą z moim pierwotnym zamiarem. Czy zauważyliście jak biega w różnych kierunkach te ożywione słowa, jak chcą przejść w inną stronę do innego czasu... A stary wilk wiele miesięcy w swoim wylewaniu zapewne futrze i pocięszowanym łbie historii wszystkich bójek o kogośby innego jak o starego wilka — jest sobą i żywą opowieścią o sobie, o sobie wzrastającym w środowisko i odchodzącym od środowiska, o sobie rosnącym i ginącym.

Każda dobra książka, dobra proza nawet najbardziej stałyczna i apolityczna, jest sobą i zarazem zapisem o swej historii, zapisem dramatycznym, gdyż zapisem walki z autorem o własny rozwój. Każda więc dobra książka jest książką dramatyczną; nawet jeżeli założenia miała być dziełem spokoju iładu jest także zapisem dramatycznej walki o spokój i ład. Jeżeli za książkę udaną uznamy tę, która jest konsekwentną realizacją pierwszego zamiaru autora — trzeba stwierdzić, że książki dobre to książki nieudane. Szaleje, książki dobre to niektóre z nieudanych książek.

IV

Literatura jest mową obrazów — nawet tzw. literatura intelektualna, nazywana niekiedy literaturą filozoficzną — to literatura szczególnie obfita w treści intelektualne, filozoficzne wypowiediane pośrednio, wypowiediane przez obraz, przez szereg obrazów, przez usystematyzowane kompozycje szeregi obrazów wiódące do pewnych odczuć, do pewnych w przybliżeniu tylko zdeteminowanych, określonych myśli. Twórcą jest zazwyczaj zdradzany często w sposób perfidny i cyniczny przez dzieło jak ów Balczak, który pisał by służyć

kościółowi i monarchii, jak ów Dostojewski, który pisał by służyć cerkwi i carowi — obaj przez szczególną zdradę dzieł stali się grabarzami tego, czemu pragnęli służyć. Twórcą bowiem nie ogarnia — zupełnie jak czytelnik bez pośrednio myśli utworu — bezpośrednio dany jest mu jedynie obraz, ogład planu obrazowego dzieła — planu wcale nie będącego jego twórcy bezwzględna własnością — bowiem każdy kto styka się z konkretem, z wizją przedmiotów i przedmiotowych kształtów — liczyć się musi z możliwością zderzenia. Wszystko to co podnosimy do godności przestrzennego bytowania, nawet tylko w przestrzeni wyobrażonej dąży do samodzielnego bytowania — konkretność nadaje się dziełu poprzez oddzielenie od twórcy. Własnością zupełną twórcy jest myślenie nieogładowe, myślenie nie będące i być nie mogące budulem rzeczywistości dzieła literackiego, lecz jedynie dedukowalnym z dzieła, przez tego kto uważny, wnioskuję.

Myśl — myśl sądów uogólnionych — myśl pojęciowa zakłada abstrakcję, zakłada oderwanie od konkretnej wizji — jest czynnością i dziełem matematyka, logika, a także niekiedy współczesnego fizyka. Wśród uczonych myślenie „nieśmiertelne” myślenie obrazem, konkretną wizją przyszłości biologowi gdyż właśnie przedmiotem materialnym działania biologa są żywe, konkretne organizmy, organizmy, których klasykami obok klasycznych napieciu śledzi, a niekiedy usiłuje zmieniać. Biolog jest najbliższym krewniakiem, jest bratem pisarza.

Działają po dziś dzień autorzy odcinający się od braterstwa, braterstwa ducha i co więcej braterstwa metody z biologami. Autorzy ci usiłują ród swój wywieść od matematyków i logików — twierdzą oni, iż posiadają

gotów w ryszunku swojej dobroci do wędrówki przez stulecia i przestrzenie. „Powstał tysiąc lat temu” mówią klasycy i dodają „Byłby dobry także gdyby powstał dzisiaj”. Klasycy bowiem za wsze mają coś do dodania do swego głównego wywodu — mały komentarzyk — często bez zbytecznej ornamentacji, bez ekspresjonizmu napisany wstępik — klasyk ma zwyczaj żywe poczucie nieśmiertelności swego dzieła — klasyk składa daninę skromności trudniąc się niewdzięczną i istotnie niedocenianą pracą tłumacza.

Mniemanie o nieśmiertelności swego dzieła klasyk czerpie z przeświadczenia o jego prostocie — dzieło klasyka jako zupełnie proste to znaczy zupełnie zgodne z zamiarem z regułami sztuki uformowanymi już przez Arystotelesa, przed którymi klasyk uchyla czoła. Śmierć to rozkład, a rozkładowi podlegają tylko byty złożone, byty proste, dzieła klasyka ocaleją to jasne jak Helios i jak współczesne, elektronowe słońce.

Bliskim krewniakiem klasyka jest Filolog — oczywiście Filologiem, Filologiem z ducha można być i bywa się faktycznie nawet bez ukończenia szkoły podstawowej. Można natomiast Filologiem z ducha nie być, nawet siedząc na katedrze Filologii. Można jednak także być zaciekle Filologiem siedząc na katedrze Filologii. Filolog jest obrońcą i protektorem klasyka przed tymi, którzy nie posiadają ostatnich i bezbłędnych reguł sztuki — wytworzą sami własne reguły w czasie pisania, ściślej poprzez pisanie. „Niech Pan uważa” mówi Fi

STOKI

Fot. E. Kudał



gotowe reguły sztuki, bądź nie wypowiedziane podobnych twierdzeń sygnalizują ich posiadanie praktyką twórcy. Istnieli we wszystkich epokach — obecnie nazywamy ich klasykami, neoklasykami, pseudoklasykami, pod i nadklasykami, krypto lub jawno klasykami, obok klasycami. „Istnieliśmy we wszystkich epokach” — powiadają klasyki i dodają „z każdej epoki my tylko my pozostajemy w trwałym dorobku kultury. Pozostają jedynie, wyłącznie klasyki”. To ci, którzy uważają, że dobry więcej jest zawsze dobry —

lolog do Autora i dodaje „Te jeszcze nigdzie nie było. Rozumie Pan, pojmuje niccoś tego co jeszcze nigdzie i nigdy nie było”. Ani klasyki, ani brat jego i protektor — Filolog nie wierzy, że złudze nie prostoty cennych układów estetycznych jest jedynie pochodną i skutkiem wielokrotnego ich powtarzania w czasie i przestrzeni. Prostota w tych sprawach to przyzwyczajenie i nie więcej.

VI

Jak trudno mi teraz, Czytelniku, pisać o Tobie, Nie

JERZY WALEŃCZYK

SAMOTNOŚĆ

NIEDZIELA

Ten emeryt z okna vis a vis
Uważa mnie za kompletnego wariata.
Zółte firanki nieodstąpię.
Niewidzialny deliberyję przed lustrem. wyjść, nie wyjść —



Bo i po co?
Pragnienie sugeruje to i owo. Za ile?
Dzień rodzi kształty pokryte szluzem, galareta, podnosi
Wysoko zbożały, siny brzuch.
Rzeczywistość nieustannie rozciąga się, obserwuje
Szezęgóły, koncentruje na zachowaniu.
Możliwość wiecznie spaceruje pod oknami.
Działanie jest kosztowne.
Mała wieczność nieruchoma.
Forma zainstaluje światło, sprawdzi
Kontakty, ubezpieczy i przewidzi.
Kaktus precyzyjnie szepcze: pamiętaj o mnie
W półcieniu.

Klarowne myśli jasnej rzeki
I granice reguły chwili bezbronnej.
Kuchienka z niemalowaną podłoga, wielką bazą
Mojego losu, eksterytorialna.
Sęki mają skończone oczy.
Wydluzony podbródek,
Rozwiczrzone włosy, niepokój szatański
Cieżarnej kotki.

Kultura, kultura.

Skupienie: za plecami
Milczy moja Wenus z Milo, czajnik dla Nescafe.

ANACHRONICZNIE

To w salonach hipotez tańczą dobrzy ludzie
I nawet przyszłość może czekać,
To kalendarz drążących godzin,
To kuchienka, to zlew, bogowie człowieka.

Odkąd żeśmy zaczęli penetrować groby
Jak stare kobiety z pamięcią Utopii,
Niebieskie jak legenda, księżniczka logiki,
I nie ma świętych, portów, nie ma Europy.

Czy może mnie obudzi, jak Ciebie budziła
Czy barwy Rzymu, Wenecji, Paryża,
Czy będziesz szepiał, że nie ma nic bardziej,
Gdy jesteśmy? Herezja zgłębia ramię krzyża.

Może gnani jak rzeka Artura Rimbauda,
Fakty, fakty widzieć ciemno.
Od milczenia prowizja. Od milczenia renta.
To konflikty nalogów. Były już przede mną.



Futerka nowe,
Miny stateczne,
Piękne nylony,
Wdzięcznie uszyte,
Krokiem spokojnym
Zadowolonym.

Chłopczyk w berecie
Białym, czyściutkim,
Spacer świąteczny
I myślom słońce.
Rosół — na obiad,
Pocicie tylko
Kształt niedorzeczny?

Idą dziewczyny,
Torba przez ramie
Bucik na szpilce
Krok stewardessa,
Niebo dostojne,
Piekarz zamknięty,
Fryzjer spokojny,
Na szary asfalt
Kredowa kreska.

Ta węzeł grecki,
Złoty i nowy,
Ten nachylony,
Ten parle parle
Lekką rozmową.

Pocicie tylko
Rysunek żywy,
Milczy bezsensie
Zdradza troską
Wybór królowej
Miss Bazarowej.
Na szary asfalt
Kredowa kreska.

A ty się nie śmieć,
Wspólny schemacie,
Ze straci świadomości
I zysków późnych.
Zmierzeń pojęć.
Taksa w uliczkach,
Technienie wiosen.

Tęgo, co nie ma
Sen nieskończony,
Trud przywiązania,
Skłócona zima
Pocicie tylko?
Adiutant nieba.
Wiersz eksploduje.
Zazdrość w żrenicy
Późnym wieczorem,
Gdy astronauta
Na Wielkiej Drozde
Wybór otwierają
Wieczne mgławice.

sobą po to by wydawcę i samego siebie oszukać. Po dziś dzień, gardząc wydrukowanymi książkami, wydobywam z szuflady i odczytuję ów niedobry, nie wydany rękopis. Ta jedna niedobra książka jest moja, wyłącznie moja — służy przede mną napisana do moich, wyłącznie moich odczytywań. Pomyślcie — już nikt nie będzie jej odczytywał, nikt nie będzie jej pisał, nikt nie będzie jej w niej i przez nią obrażał. Nikt nie zażąda ode mnie komentarza, ani wstępiku, ani epilogu, ani prologu. To książka dla wszystkich z wyjątkiem mnie jednego zamknięta. Książki wydane są książkami otwartymi. Przypomnijmy sobie literalne znaczenie słowa „wydany” — to przecież spełnienie kogoś „wydawać”, a książka jest na pewno kimś i to kimś wydanym na łup, na żer, kimś absolutnie bezbronnym. Nie obroni wydanej książki, jak sądzą klasycy, bezbłędna konstrukcja — bowiem konstrukcja może obronić tylko konstrukcję, a książka konstrukcją nie jest. Jest żywym organizmem z dramatycznym napisem własnego trudnego dojrzenia. Tak wielu mówi o technice literatury, o technice książki, o technice pisania, o technice pisania... Dlaczego wszyscy milczą a biologii tych żywych zjawisk, przedmiotów, procesów i czynności. Czyżby czynności pisarza były mechaniczne, tylko mechaniczne, czyżby dzieło pisarskie było maszyną...?

BERNARD SZTAJNERT

str. 6

Arystarek

Paradoksy

WSPÓŁCZESNOŚCI

MŁODZI PRZESTĘPCY

Francja przeżywa kłopoty nie tylko natury gospodarczej (myślę o masowych protestach ludzi pracy przeciwko próbom ograniczenia ich praw do walki o poprawę warunków bytowych), ale również — socjalnej. Prasa, i to nie tylko codzienna, ale nawet — literacka, podnosi alarm z powodu zatrważającego wzrostu przestępczości wśród dzieci i młodzieży. W 1939 roku 12 000 młodych przestępców stało przed kratkami trybunałów; w 1945 roku cyfra ta skoczyła do 35 000 (co się tłumaczyło bezpośrednimi skutkami dopiero co zakończonej wojny), w 1954 liczba młodocianych kryminalistów spadła do 15 000, zaś obecnie znów zdradza

z galijskim poczuciem humoru. Lovell, mianowicie, przewidywał, respective, „prorokował”, że wystrzelenie radzieckiej pary, mężczyzny i kobiety, w kosmos wskazuje na zapowiedź przyszłej „kolonizacji” planety, która zostanie zdobyta przez Związek Radziecki! Odpowiada na to jeden z publicystów tygodnika literackiego „Nouvelles Litteraires”, że pomimo uznania dla autorytetu naukowego Lovella, bardziej należy wierzyć jego prognozy astronomicznemu niż „prorokom kolonizacyjnym”. Nas jednak cieszy, że sukcesy kosmiczne Związku Radzieckiego wywołują wciąż nowe echa na szerokim świecie.

MODA NA AMERYKANÓW

Czytelnik francuskich tygodników literackich mógł od dawna zauważyć, że poświęcają one coraz więcej miejsca nowym „gwiazdom” beletrystyki amerykańskiej. Nie wywołało to zdziwienia za czasów panowania „wielkiej czwórki”: Hemingwaya, Faulknera, Steinbecka i Caldwell. Może jednak dziwić, gdy amerykańscy następcy trzech laureatów Nobla (Hemingwaya, Faulknera i Steinbecka) zdają się wywierać na szerokie koła czytelnictwa we Francji wpływ nie mniejszy niż ich wielcy poprzednicy. A może dziwić dlatego, że Francja (zwykle bardzo czuła na preponderancję w sztuce i literaturze) zdaje się ustępować w beletrystyce pierwszeństwa młodym amerykańskim pisarzom. I to właśnie, jak na stosunki w Paryżu, niegdyś stolicy świata, uważam za zjawisko paradoksalne!

Obecnie szalenie modny jest we Francji głośny zresztą w całym świecie, młody (urodzony w 1925 roku) pisarz amerykański William Styron. Jego niedawno przetłumaczona na język francuski powieść „Łoże ciemności” spotkała się z nader pochlebnym przyjęciem przez poważnego krytyka R. Las Vergnas, pisującego w tygodniku „Nouvelles Litteraires”. Wprawdzie znakomity recenzent wykrywa wpływ Faulknera na pisarstwo Styrona, ale



„KOLONIZACJA” PLANETARNA

Prasa francuska nie przestaje komentować lotów kosmicznych Bykowskiego i Tierszkowej. Francuzi podkreślają z uznaniem dokładność a nawet precyzję, z jaką odbyło się lądowanie „Wostoków” 5 i 6 w przewidzianych z górą punktach globu ziemskiego. A więc, przyszli kosmonauci, następcy Bykowskiego i Tierszkowej mają zapewniony powrót na naszą planetę. Powszechną uwagę zwraca też fakt, że kosmonauci amerykańscy wracali na ziemię w punktach oceanicznych, podczas gdy radzieccy lądują na stałym gruncie.

„Przepowiednie” wybitnego Bernarda Lovella, dyrektora znanego obserwatorium radioastronomicznego w Jodrell Bank (Manchester) przyjęli Francuzi

który ze współczesnych pisarzy może powiedzieć o sobie, że jest wolny od wpływu takiego tyтана literatury jak autor „Azylu”? A oto, pokrótce, treść „Łoża ciemności”: Do małego miasteczka w stanie Virginia przywożą zwłoki młodej kobiety, która popełniła samobójstwo w Nowym Yorku rzucając się z okna hotelu w jednym z drapaczy nieba. Cała powieść jest opisem kalwarii ojca, który wita szczątki ubóstwiającej córki na stacji kolejowej, a następnie rewokuje we wspomnieniach historię własnego życia i życia córki. R. Las Vergnas podkreśla symbolizm utworu oraz umiejętność, z jaką autor potrafił pozyskać sympatię czytelnika dla postaci występujących w „Łożu ciemności”.



Ośrodek „Włókniarz” w Ustce

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Nas — łodzian jest tego lata w Ustce naprawdę bardzo dużo. Spotykamy się każdego dnia na kamiennym moście, w wąskich, krętych uliczkach, na biegnącej wzdłuż brzegu morza alei — promenadzie, w kinie, kawiarniach i restauracjach, a w słoneczne dni oczywiście na plaży. Słowem spotykamy się wszędzie.

W położonej nad samym morzem „Bałtyckiej” tańczy my wieczorami przy dźwiękach łódzkiej — i, przynajmniej trzeba, wyjątkowo dobrej orkiestry. Na ścianach domów oglądamy zwiastuny występów Łódzkiego Teatru Lalek „Arlekin”, a na publicznym pokazie letnich ubiorów z dumą patrzymy na zgrabne łódzkie dziewczęta, prezentujące szerokiemu audytorium nowości polskiej mody. Wciąż uciekamy z jezdni przed sunącymi z niemałą czasem szybkością samochodami, motocyklami, skuterami, z których wiele należy do łodzian, odpoczywających po całonocnej pracy w tym gościnnym, rybackim miasteczku. Jednakże największe skupisko łódzkich czasowiczów leży na uboczu — na prawo od przystani, z dala od hałaśliwej, centralnej plaży i rozkrzyżowanych uliczek śródmieścia, z dala od serca miasteczka. Mimo to natychmiast po wyjściu z dworca natrafiamy na pierwszy ślad owego skupiska. Na małej, czerwonej tablicy ce-drogowskiej czytamy: „Ośrodek Włókniarz — 2000 m”. Jeśli na dworcu nie czeka na ciebie zielony autokar Włókniarza, zaś na taksówkę szkoda ci pieniędzy, a więc jeśli musisz wędrować pieszo, masz do wyboru dwie drogi: pierwsza — zgodna w swym biegu z wytyczonym przez dworcowy drogowskaz kierunkiem — prowadzi przez nieciekawą peryferie Ustki. Na pewnym odcinku urywa się niespodziewanie i za mienia — w obszerną, piaskową pustynię, z której wyjdiesz dopiero na 700 m przed celem na wygodną, zbudowaną środkami funduszu czasowego, drogę. Lepiej nie dociekać czemu ojcowie miasteczka nie kontynuują rozpoczętej przez innych budowy tego ważnego szlaku turystyczno-komunikacyjnego. Jesteś na czasach i takimi rzeczami nie warto łamać sobie głowy. Wybierz po prostu drugą, znacznie ciekawszą i wygodniejszą. Idź prosto ulicą Marynarki Polskiej, a gdy dotrzesz do portu, w prawo skręć i w 10 minut staniesz przed bramą wjazdową Ośrodka i groźnie brzmiącym ostrzeżeniem: „Osobom obcym wstęp wzbroniony”. Być może nie masz skierowania i przywiodła cię tu tylko ciekawość. W takim wypadku zwróć się do kierownika czasów — Elegusza Kowalskiego, zapewne pozwoli ci zwiedzić ten komfortowy ośrodek,

A zwiedzić warto. Jest bez wątpienia najpiękniejszy z tych, które znajdują się w Ustce, a jednocześnie jednym z najpiękniejszych w całym kraju. Gości wczasowiczów dopiero drugi sezon, ale cieszy się już znakomitą i w pełni zasłużoną opinią i to nie tylko wśród łodzian, ale także wśród bielszczań, wrocławian, mieszkających w Pabianiu i Zgierzu, obywateli Poznania, Bydgoszczy, Częstochowy i Kalisza. W ośrodku znajdziesz też przedstawicieli innych miast: Warszawy, Białegostoku, Żywca, Chełma, Sosnowca, Oleśnicy, Cie

tym tylko, że w Lagiewnikach i na Zdrowiu woda brudna jest i lepka, a atrakcje wątpliwe w przeciwieństwie do tych, które czekają na gości „Włókniarza” i które w poważnym stopniu składają się na wielką i wciąż rosnącą popularność tego wczasowiska.

Bo „Włókniarz” to nie tylko obszar z szeregiem cudownych — parterowych i jednopiętrowych — domków, świetnie położonych i znakomicie wyposażonych: w gorącą wodę, centralne ogrzewanie, łazienki, wspaniałe nowoczesne meble: fotele i radia, dywany, to nie tylko dobra kuchnia — piękna jadalnia, mile

cięcej, z wypożyczalni rowerów, sprzętu sportowego i zabawkowego. Ponadto na terenie wczasowiska znajduje się wesołe miasteczko wyposażone w przyrządy gimnastyczne, huśtawki, karuzele i piaskownice. Ponieważ teren jest ogrodzony, nie ma obawy, że dziecko zaginie, nawet wtedy, kiedy bawi się niestrzeżone oczami rodziców.

Ambulatorium, gabinet lekarza, instruktor kulturalno-oświatowy i zatrudniony na pełnym etacie ratownik czuwający nad bezpieczeństwem kąpiących się zamykają z grubszą rzeźbą biorąc litanie zalet Włókniarza, one zaś oraz stonkowo niskie opłaty za 2-tygodniowy pobyt ściągają do Ustki chętnych z całej Polski, z biur i fabryk. Na uwagę zasługuje fakt, iż nie ma tu dysproporcji między ilością wypoczywających pracowników fizycznych, a umysłowych. Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Włókienniczego Odzieżowego i Skórzanego patronujące ośrodkowi, skierowały na wczas do Włókniarza w trzech pierwszych tegorocznych turnusach 457 pracowników umysłowych, administracyjnych, 80 pracowników umysłowych — technicznych i 411 pracowników fizycznych. Odpowiednio dobrany repertuar rozrywek, doskonałe położenie geograficzne i klimatyczne — Ustka wolna jest w przeciwieństwie do innych miejscowości nadmorskich od komarów i wilgoci — oraz nadzwyczajna wprost jak na warunki wczasowe wygoda potrafią zadowolić wszystkich bez względu na wiek i rodzaj wykonywanej pracy. Nie dostrzeżesz tu żadnej elitarności. Wszyscy są uśmiechnięci, wszyscy zadowoleni.

Szczególny urok mają tu wieczory. Kiedy mija godzina 21, kiedy mamy już za sobą żar piasek i ciepłą plażę, chłód morskiej kąpieli, wycieczki jachtem do Gdyni i kołację, z uporem romantyków ciągniemy nad morze. Niektórzy z nas schodzą aż na plażę, inni obserwują horyzont wody z kamiennego tarasu, zakończonego schodzącymi w dół stopniami, okraszonymi kilkoma lawkami o różnych kolorach. Plażą przechadzają się samotni i — być może — zakochani, na tarasie wygodnie rozsiadli się starsi mężczyźni w białych płóciennych spodniach i furażkach, starsze panie chronią przed wiatrem i chłodem wieczoru wełnianymi szalami. Ja choć młody sie dzie razem z nimi, z nimi słucham szumu morza i patrzę na pościg fal — liczę je — podobno dziewiąta z rzędu zawsze najmocniejsza i największa. W promieniach zachodzącego, krwistego słońca jak oni mrują oczy i jak oni czują się szczęśliwi, gdy kojący szum żywiołu miesza się w cudownej harmonii z wibrującą z radiowęzła melodią. Szkoda, że już jutro trzeba wyjechać.

WŁÓKNIARZE W USTCE

szyna. Wszystkich wyluczyć nie sposób, ale choć — jak wynika z powyższego — spotkasz tu reprezentantów niemal wszystkich miast południowej Polski, łodzian jest i było do tej pory z całą pewnością najwięcej. Dziwi się temu niepodobna. Wszak Łódź jest miastem włókienniczym, wszak to właśnie w Łodzi jest najwięcej włókniarzy.

W trzech pierwszych turnusach tegorocznych — od dnia 25 maja do 7 lipca — Ośrodek Wczasów Rodzinnych „Włókniarz” (tak brzmi oficjalna wizytówka tego terenu) przyjął ogółem 928 wczasowiczów, z których aż 394 było mieszkającymi w Łodzi. W IV turnusie, na którego początek szczęśliwie trafiliem, przewaga łodzian została utrzymana. Zielony autokar przetransportował w dniu mojego przyjazdu około 120. Część przyjechała dnia poprzedniego, część dobiła prawdopodobnie z dziennym opóźnieniem, w każdym bądź razie łódzkich włókniarzy wciąż najwięcej — tak dużo, że trudno się chwiliami zupełnie jak w domu, — tu, nad samym niemal brzegiem Bałtyckiego Morza... Tuż za bramą, na przysypanej czerwonym żwirem powierzchni parkingu stoją w bezruchu samochody — Warthburgi, Skody, Fiaty i Syreny — z tyłu łódzkie numery rejestracyjne. Na pierwszych, kolorowych lawkach dostrzegasz pozostawiony przez kogoś na pastwę wiatru „Łódzki Express Ilustrowany” — nieodłączny atrybut podróżujących łodzianów. Z rozmowy dwóch starszych panów dowiadujesz się, że dwa dni temu w Łodzi lało jak z cebra, i że burze były srogie. Tak, tak, zupelnie nie jak w Lagiewnikach lub na Zdrowiu w pogodny niedzielne popołudnie z

kelnerki, ubrane w białe, czyste fartuchy, smaczne posiłki zadowolić tu mogą nawet najbardziej wybrednych smakoszy i estety — nie tylko miejsce nad wodą ze specjalnie wydzieloną autonomizną plażą. Ośrodek ma tę zaletę, że potrafi z wyprzedzeniem odeprzeć każdy złośliwy atak brzydkiej pogody: sztormu, wichru, deszczu i zimna, proponując w nekane tymi żywołami dni albo gry sportowo-towarzyskie jak ping-pong, szachy, brydż, albo programy telewizyjne, małą czarną w przytulnym kąci kawiarni, aktualne czasopisma i gazety w miniaturowym, jasnym Klubie Książki i Prasy, dobrą lekturę z własnej biblioteki oraz koncerty życzeń nadawane z umieszczonych w biurze czasów radłoweży. Od czasu do czasu — bez względu już oczywiście na pogodę — kierownictwo Ośrodka organizuje zabawy taneczne w obszernej jadalni. W czasie wieczorów zapoznawczych i po żegnanych włókniarza tańczą najczęściej przy dźwiękach dziańskiej orkiestry marynarskiej, z którą ponoć szczerze się zaprzyjaźnili. Doszło także w bieżącym miesiącu do występów młodego kabareczku „Kiks” ze Słupska, którego program trafił do gustu odbiorcom.

W dni zaś pogodne, a było ich do tej pory niemało, prócz morskiej kąpieli i gorącego piasku plaży czekają na wczasowiczów z Włókniarza wycieczki statkami po Wybrzeżu, boiska siatkówki oraz piesze wyprawy do lasu po poziomki, jagody i grzyby.

Pomyślano tu również o dzieciach, które mogą korzystać na miejscu z prasy lekturny młodzieżowej i dzie

MUZA na ULICY TARGOWEJ

(Reportaż z PWSTiF
im. Leona Schillera

napisała ALINA GRABOWSKA)

Siedzieliśmy wszyscy na schodach.

W setkach reportaży pisano już o tych schodach, wysłanych czerwono-brunatnym chodnikiem i wiodących na piętro gmachu przy ulicy Targowej.

Ale tym razem naprawdę siedzieliśmy na schodach i właśnie drzwi się otworzyły, a z pokoju wyszedł Jurek. „Myj zęby proszkiem” — powiedział, pozornie bez związku. „Postawiłem trzech facetów, tyłem, przed nimi spotyka się chłopak z dziewczyną, witają się, on ją całuje na przywitanie i ona pada zemdlna. Wtedy tamci trzej odwracają się, szczerzą zęby i chórem mówią hasło”.

— Jest tam rektor? — spytał ktoś.

— Jest, jest. Podpowiadanie się skończyło. Ale jakby wyszedł to niech Wojtek usiadzie przy oknie.

— Ja miałem „Reklama dźwiękowa handlu”. Nic nie mogłem wymyślić.

— Gdzie tu jest w Łodzi ba sen? — Słuchajcie, koniec na dziś. Muszę trochę popływać, głowa mi pęka.

— A co na gorze?

— Złe idzie. Ktoś robi teraz „Lato spędzaj nad morzem”.

Wstaliśmy ze schodów, było okropnie gorąco, strasznie duszno i pomyślałam sobie że dobrze byłoby zobaczyć to hasło „Lato spędzaj nad morzem”.

Wyglądało to tak: na podłodze koc, na kocu leży znudzony młodzieniec z literą „R” przypiętą do marynarki. Kandydat na przyszłego studenta objaśnia: to jest ratownik. Jednocześnie za krzesłem slychać dramatyczne „gul, gul, gul”. Intencja staje się jasna — ktoś się spokojnie topi, ratownik nie zwraca uwagi. Razem: „Lato spędzaj nad morzem”.

Po chwili to samo krzesło staje się w ośrodku komisji siedzeniem w tramwaju. Hasło: „Bądź grzeczny”. Teraz hasło „Zachowaj ciszę” — krzesło jest już ławką w publicznej bibliotece. Pociąg pędzi, ktoś wypadł w biegu. Hasło: „Nie wychylaj się”.

Papier imitując naczynia kuchenne, koc zastępuje plażę, stół jest lokomotywą pociągowej pociągowej. Parę normalnych codziennych sprzętów, przy których pomocy grzeba stworzyć własny świat, wypełnić go treścią, dowcipnie spointować.

Te „hasła”, albo „plakaty” mają sprawdzić wyobraźnię zdających, ich umiejętności w króciutkiej scenie przedstawiać sens hasła — oto dwa przykłady świadczące, o dużej pomysłowości autorów:

Hasło „Nikotyna twój wróg” — jeden z kandydatów przedstawił następująco — stojąc człowiek i pali papierosa. Obok drugi pali papierosa siedząc. Trzeci też pali papierosa, ale jest już niziutko pochylony. Czwarty — leży nieruchomo na podłodze.

Hasło „Sito egzaminacyjne” zostało przedstawione pro-

ca magisterska — w tej jest butelka wódki. Proszę ustawić tę scenę.

Mija godzina za godziną, jest już wieczór. W trzech po kojach kolejni kandydaci rozmawiają z aktorami, opowiadają zakończenia, próbują inscenizować, wymyślają piny, z ławki i krzesel tworzą pociąg, z koca — nadmorską plażę, z butelki po wodzie sodowej — wagę. Zmęczeni, wychodzą — komisja jeszcze zostaje na dłuższe posiedzenie.

Następnego dnia, rano: przedmioty z zakresu fotografii. W korytarzu czekają już modelki. Zadanie: oświetlić portret. Zadanie: ustawić do fotografii martwą naturę. Patrząc jak zrobiła Elżbieta — wpadła na pomysł, żeby otworzyć balkon, w drzwiach ustawiła parę młodych ludzi! Tu spojrzcie, tu — kobieta na krześle, postać w cieniu, oświetlone tylko ręce i twarz. Nie, to już nieciekawo, to banalne, przecież nie można tak postawić się reflektorem, to jest niewykorzystane, źle oświetlone.

Kilka osób naraz przesuwa lampy, ustawia modelki, wygasza i zapala światła. Wszystko razem nazywa się „fotografowanie na sucho” — kandydaci mają ustawić obraz na matowce aparatu fotograficznego. Uff! Już koniec. Już komisja obejrzała pracę ostatniego zdającego. Jest wieczór, piąty dzień trwania obozu.



ciutko — zdający potrząsał parę razy papierem, (wyobrażającym normalne sito), następnie założył sobie papier na głowę i — wyszedł.

Wszyscy obecni — łącznie z komisją — wybuchnęli śmiechem.

Ale był to tylko krótki moment odprężenia. Egzamin wstępne na Wydział Filmowy PWSTiF trwały już czwarty dzień. Od czterech dni trzy komisje sprawdzały umiejętności i talenty siedemdziesięciu osób. Na przykład — kandydaci obejrzały nowy polski film „Weekendy”. Ich zadaniem było następnie uczestniczyć w dyskusji o grze aktorów, reżyserii, montażu, scenariuszu. Innego dnia trzeba było dokonać adaptacji fragmentu prozy. Potem przyszedł czas na przedmioty z zakresu malarstwa: narysować martwą naturę. Przedstawić kompozycję rztu przestrzennego. Dobrze odpowiednio barwy.

Dzień później: ciąg montażowy. Ze stosu kilkunastu fotografii ułożyć historyjkę fabularną, albo scenkę logiczną łączącą się w całość. Wreszcie „hasła” i „sceny aktorskie”.

Do dyspozycji kandydatów jest kilku studentów Wydziału Aktorskiego. Zadanie: ekspedientka sprzedaje według. Któryś z kupujących spostrzeżę, że waga jest niedokładna. Wychodzi ze sklepu, szuka milicjanta. Jak przedstawić tę scenkę? Jakaś dodasz piny?

Zadanie: trzech chłopców na plaży, przychodzi dziewczyna. Chłopcy próbują z nią rozmawiać, wreszcie dwaj wychodzą, trzeci umawia się do kina. Tamci dwaj wracają. Jak zareagują? Proszę wytłumaczyć aktorom jak mają to zagrać. Co było w ich grze niedobre? Czego brakowało?

Zadanie: Student i studentka na dworcu. Przypadkowy podróżny zabiera im przez po myłkę teczkę, a zostawia swoją. W tamtej tece była pra-



Jutro rano dowiedzą się kto zdał, kto został przyjęty. Teraz odpocząć, spać, spać — skończono...

...Jacy oni są? Przeszli już przez parę „sit egzaminacyjnych”. Najpierw rozmawiali z pracownikami naukowym Szkoły w Poradni Konsultacyjnej. Potem nadesłali swoje własne prace, tzw. „próby twórczości oryginalnej”. Były to obrazy i rzeźby, fotografie i recenzje, scenariusze i nowelki. Potem komisja sprawdzała ich wiadomości ogólne z zakresu teatru, filmu, telewizji. Wreszcie — z dwustu zdających wybrano siedemdziesięciu, którzy dostali się na obóz.

...Jacy oni są? Przez ten tydzień zdążyli się wszyscy dobrze poznać, mówią sobie po imieniu, zdążyli się zaprzyjaźnić ze studentami, obserwującymi egzaminami. Używają fachowych terminów, żyli się z Uczelnią, wiedzą wszystko o egzaminatorach. Są różni — niektórzy zdają po raz czwarty, niektórzy studiowali już na paru innych uczelniach, inni mają kilkuletni staż pracy, inni przyszli tu prosto po maturze. Dojrzały ludzie obok siedemnastoletków. Prawdziwe „wygi” obok nieśmiałych i szeszyganych. Ci, których przy ciągnęła fama — o „łatwych studiach”, o „świątecznych zarobkach”, o „karierze światowej”, ci, których przyciągnął zwykły snobizm — obok takich, dla których praca w filmie jest sensem życia i prawdziwą greścią wszystkich marzeń. Jednym szkolna komisja rekrutacyjna napisała

w opinii: „brak zdolności matematycznych, nie może iść na Politechnikę. Skierowany na studia filmowe” — inni z uporem, przez lata realizują swoją pasję. Są różni. Niektórzy mieszkają w wielkich miastach, bez trudu mogą korzystać z teatru, kina, telewizji — ale ich zainteresowanie filmem sprowadza się do kolekcjonowania fotosów gwiazd. Inni — to, co zdobyli — zdobyli z trudem i w walce. Oto młody chłopak z pod Białegostoku. Robotnicza rodzina, siedmioro dzieci. Nie jest byskotliwy, nie potrafi dyskutować, z trudem formuje zdania, z trudem myśli obłeka w słowo. Zadzwił komisję własną (opartą o rozmowy w kopalni, w której pracował) teorią na temat wpływu kolorów na usposobienie człowieka. Inny — siedemnastoletni maturzysta z małej miejscowości w okolicach Wrocławia. Uciekał z domu żeby pójść do kina i do teatru. A inny jeszcze — przeszedł już przez kilka fakultetów, zdaje po raz trzeci. W międzyczasie prowadził zespół amatorski, założył filmowy klub dyskusyjny.

Są różni. Z siedemdziesięciu przyjętych na kurs — do Szkoły dostanie się dwudziestu. Oczywiście, będą wśród nich ludzie przypadkowi, niedojrzały, tacy, którzy odpadną po pierwszym roku. Ale ten system egzaminów sprawia, że istnieje maksymalna możliwość wyłowienia właśnie najlepszych, najbardziej uzdolnionych, najbardziej wszechstronnie poznających przyzwoitego studenta. Mogą wziąć pod uwagę jego warunki domowe, to, co zrobił w ramach swoich możliwości, jego uzdolnienia, wyobraźnię, umiejętność nawiązywania kontaktu, zdolność przekazywania swych myśli, wrażliwość na światło, barwę, kompozycję.

Nie oznacza to oczywiście, aby system ten nie miał wad i błędów.

Obserwowałam przez kilka dni tegoroczne egzaminacje do PWSTiF. Trzy rzeczy rzuciły mi się w oczy: pierwsza — to szereg obiektywnych okoliczności, które utrudniają zadanie zarówno kandydatom jak profesorom. Ciąsnota lokalu, słońce, fakt, że egzaminacje rozpoczynają się rano, a kończą, późnym wieczorem. Już czwartego dnia „obie strony” były kompletnie wyczerpane. Te sprawy rozwiąże dopiero rozbudowa Uczelni.

Drugą sprawą: czy słusznie uczyniono znosząc warunek ukończenia innych wyższych studiów? Mimo wszystko niezbędna jest przecież w tej Szkole dojrzałość intelektualna i psychiczna. Wiele może w zasadzie warunek ten wprowadzić z powrotem — tylko nie traktując sprawy zbyt biurokratycznie?

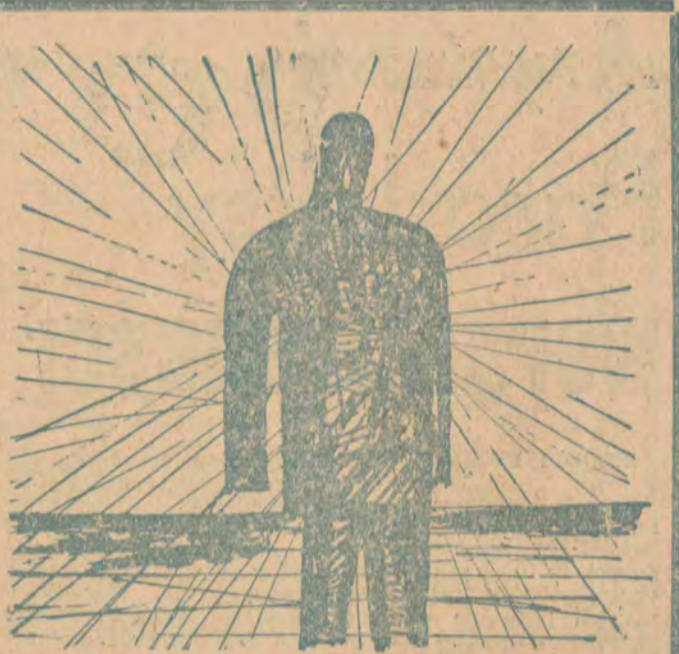
I trzecia obserwacja: niestety testy egzaminacyjne są czasem przypadkowe i niedostatecznie przez egzaminatorów przemyślane. Stopień trudności jest niejednakowy, niektóre ciągi montażowe nie nadają się zupełnie do skomponowania w logiczną całość. Te krytyczne uwagi nie zmieniają jednak faktu, iż Uczelnia posiada już w doboru wypracowany przez siebie, sprawdzony i oryginalny system, pozwalający w zasadzie wybrać najlepszych, najbardziej uzdolnionych, pozwalający na odróżnienie tremy — od hochsztaplerki i bufonady.

...Wstaliśmy ze schodów i ktoś powiedział: — Koniec. Na dziś koniec. Gdzie tu jest w Łodzi basen? Chodźmy wykonać plakat: „W frakcie egzaminów odpoczywaj nad wodą”.

P.S. Powyższy reportaż powstał dzięki uprzejmości Rektora PWSTiF prof. dr J. Toepflitz, prorektora prof. dr R. Wajdowicza i kierownika kursu selekcyjnego prof. J. Mierzejewskiego.

Niestety, obraz ten nie jest pełny, ponieważ — mimo aprobaty kierownictwa Uczelni — dziennikarz nie został dopuszczony do egzaminów na tej komisji, której przewodniczył prof. Antoni Bohdziewicz. Jest to tym dziwniejsze, że kierownik Szkoły uznano obecność dziennikarza podczas egzaminów za rzecz wielce pożyteczną i słuszną.

A. G.



JAN HUSZCZA

Wrześniowy RANEK

Nie, nie mógł przymusić się do papierosa. Dokładnie, choć z pasją, rozgniół go, rozduł w popielniczkę, parząc opuszki palców.

Zajrzał do szafki kredensowej, ale stały w niej tylko puste butelki po rozmaitych alkoholach. Poprzestał na bylejaką zaparzoną herbacie, aby zmienić w ustach smak, co mu częściowo udało się.

Chciał czym prędzej wyjść z mieszkania i dlatego nie ogolił się, śpiesznie zaciągnął węzeł krawata między brudnawymi skrzydełkami kołnierzyka, wygrzebał z różnych kieszeni i przeliczył bilon, mogło tego starczyć nawet na przyzwoite śniadanie.

Przed bramą, na chodniku, zatrzymał się, zamiast w stronę mlecznego baru, skręcił w ulicę, prowadzącą do parku, budząc w sobie nadzieję, dmuchając w nią jak w ogniki, ułożone z wilgotnych gązki, że tam może łatwiej przeczecha te godziny popołudni i wstrętu, którymi kończyło się parodniowe pijaństwo.

Im dalej wchodził w park, tym bardziej czuł się upokorzony. Pamiętał, że jeszcze wczoraj było chłodno i bezbarwnie, skapy deszczyczkami malutkich pędzłów rozrabił kurz i piasek na kamieniach, na płytach chodników, powlekając

wszystko cienką warstwą błota, ludzie szli szybko, wyglądali ubogo jak zwykle w dni kiepskiej pogody. I to jakoś usprawiedliwiało jego postępowanie. Ale teraz znalazł się na prostokątnym placu, obramowanym przez lipy i modrzewie, w ciepłym blasku słonecznym, jaki lubia koty leżące na parapetach okien, pogoda w ciągu paru godzin wydobyla z pogardy i zapomnienia, może po raz ostatni przed nadejściem pluch i mrozów, wszystkie żółte, białe i czerwone dale, wwolebrzymiając je, obdziałając jaskrawością, nad grzędami tch dalał zrywający się niekiedy wietrzyk rozpylał łagodnie wodę, która wydobylała się czterema strużkami z rur wodotrysku, sterzącej nad powierzchnią stawu.

Usiadł na ławce obok jakiejś pani, która podciągnę-

ła skraj spódniczki, utrwałała opaleniznę już i tak mosiądzowanymi kolanami, wystawiając ku słońcu morelową twarz.

Znowu spróbował słumić buszujący w nim popłoch, sięgnął do paczki po papierosa, zapalił i natychmiast rozdeptał go podszewką bucika. Żeby wydobyc się z wyłączenia, postanowił zapisać piękną sasiadkę o godzinie, ale prawie jednocześnie nie zauważył, że przecież na obficie owłosionym przegubie jego lewej ręki szczyderko czerni się zegarek, co go od razu powściągnęło, zaś do innego pretekstu, umożliwiającego jakiegokolwiek słowa niestety, nie był na razie zdolny.

Wtedy, bezradny i zrezygnowany, ledwie umiający usiedzieć na miejscu, wpastrył się w dalie, w przeźroczyste, wiatrem nawiewane na siebie, wachlarze nad rurą wodotrysku; w liw, które strącały z siebie, naczynne czarnymi plamkami, żółte liście; w modrzewie, którym jeszcze daleko było do rudziny. Patrzył, starając się o skupienie uwagi na tych wrażeniach, aby tylko choć trochę oddalić się od siebie, od tego, co mu w nim samym tak bardzo przeszkadzało.

Chyba coś uzyskał, gdyż znalazł się, odmieniony, w środku najpiękniejszych dni wrześniowej jesieni. drzemiaczy gdzieś w tym ciepło niebieszczykami dalami; pachniały grudki ziemi, brońny pracowicie wpełzały na żarony z ziarnem oziminy; cofał się wspomnieniami wstecz i wstecz, odrzucając ze wstydem, wszystkie fakty i zdarzenia, które składały się na jego życie, aż ujrzał się na ganku drewnianego domu, przez chwilę siedział, najpierw jako student, a potem jako uczeń gimnazjalny na jednym ze schodków tego ganku, patrzył na dziedziniec, porośnięty gęstą murawą, któremu patronował krzak głogu, obsypany ciemnoczerwonymi kulkami; czekał, aby matka zawołała go na śniadanie, gdyż przed godziną wró-





Somerset Maugham razem ze swym sekretarzem

Kwiecien 1962 roku. W Londynie, w słynnej galerii sztuki Sotheby sprzedano na licytacji kolekcję obrazów znanego pisarza Somerset Maughama. Suma uzyskana ze

POWIEŚĆ na którą jest już za późno

sprzedaży — blisko miliard. Córka pisarza, Lady Hope występuje do sądu z żądaniem przekazania jej części tej sumy, dowodząc iż 9 spośród sprzedanych płócien było w prezencie od ojca. Sąd uzna je roszczenia Lady Hope. W odpowiedzi na to Maugham, na łamach amerykańskiego czasopisma „Show” drukuje wspomnienia w których charakteryzuje własną żonę Syrię Wellcome, matkę Lady Hope, jako kobietę lekkomyślną, i niewierną. Jednocześnie w Nicei adoptuje 57 letniego Alana Franka Searle, swego sekretarza od lat 35. Ponieważ wchodzi tu w grę nie tyle jaka fortuna, bo jak obliczają w tajemniczości, blisko 5 miliardów — Lady Hope rusza do kontraktu. Żąda od trybunału londyńskiego unieważnienia aktu adopcji Searle'a. Maugham, z kolei, w sądzie nicejskim próbuje uzyskać unieważnienie darowizny dla córki. Córki? Stary pisarz utrzymuje, że Lady Hope wcale nie jest jego córką. Opinia publiczna trzęsie się od plotek. Skandal nabiera coraz większego rozgłosu. Tymczasem 90-letni pisarz żyje spokojnie w pięknej willi La Mauresque w Saint-Jean-Cap-Ferrat, w otoczeniu 5 służących i sekretarza, którego uczynił synem. Od czasu do czasu odwiedzają go przy-

jacie lub dziennikarze. Przyjmuje ich przy kominku. Chętnie udziela wywiadów. Zadowolony z siebie i życia, syty sławy i pieniędzy, miłośnik Goethe. „Jestem bogaty, jestem zadowolony — powtarza. Raduję się ostatnimi dniami życia i spokojnie oczekuję śmierci. Zawsze byłem racjonalistą i dlatego o śmierci myślę bez niepokojów. Nie piszę już. Nie potrafiłbym wziąć pióra do ręki i rozpocząć jakiejś historii. Straciłem fantazję i inwencję. Odkąd zrozumiałem, że nie mogę już pisać, postanowiłem resztę lat mego życia poświęcić stworzeniu sobie ludzkiego zwyczajnego szczęścia. Z pracy pisarza pozostały mi tylko piękne wspomnienia. Mój talent już nie istnieje”.

Teraz pozostało mu tylko małe królestwo zamknięte granicami luksusowej willi w stylu mauretańskim, wybudowanej ongiś przez Leopolda II, króla belgijskiego, Królestwo, w którym jest panem absolutnym i samowładnym, nie szczędzącym ironii i złośliwości swym wiernym poddanym. Czasem złośliwość jego przekracza miary willi i wtedy wybuchają międzynarodowe skandale. Czy mścił się teraz, za olimpijskiej wysokości, za swą młodość trudną i gorzką, której wspomnienia zawarł w słynnej po-

wieści „Of human bondage”? Urodził się Somerset Maugham w 1874, w Paryżu jako syn radcy prawnego ambasady angielskiej. W dziesiątym roku życia został sierotą. Zaopekował się nim wuj, pastor w małej parafii w hrabstwie Kent. Mały Somerset czuł się bardzo źle w jego domu. Nie znał dobrze angielskiego i jękał się w dodatku. To jękanie było źródłem głębokiego, wewnętrznego dramatu pisarza. We wspomnianej już powieści „Of human bondage” ukazał całą gorzkość, poczucie niższości i dążenie do rekompensaty, jakie wywołać może w młodym człowieku ułomność fizyczna. Zmienił tylko to „łomność”. Philip Carey nie jaka się lecz ma zdefiniowaną nogę. Powieść ma charakter wyraźnie autobiograficzny i znakomicie analizuje wpływ chłodnego, surowego, purytańskiego i klerykałnego środowiska na młodzieńca niezwykle wrażliwego, inteligentnego i pełnego ambicji. Pozbawiony miłości rodzinnej, upokarzany i samotny Maugham poprzysiął sobie, że zdobędzie sławę i bogactwo. Za wszelką cenę. I zdobył je. I to dosyć szybko. Gdy miał 30 lat, Othe Stuart, dyrektor jednego z czołowych teatrów londyńskich wystawił jego pierwszą komedię „Lady Friederick”. Niebawem aż 4 teatry londyńskie grały równocześnie sztuki Maughama i to z wielkim powodzeniem. Jeszcze do niedawna pracował jako sekretarz w biurze prawniczym o potem jako... akuszer w dzielnicy londyńskich slumsów. Teraz zaczął bywać w wytwornym towarzystwie. W salonie państwa Allhusen poznał Winstona Churchilla. Z miejsca zostali przyjaciółmi i całymi godzinami grywali w golfa. U Carstairsów poznał Syrię Wellcome, kobietę bardzo piękną i uciążliwą, mężatkę, ale nie żyjącą z mężem. „Wiedziałem dobrze, że nie jestem jej pierwszym kochankiem” — wyznaje we wspomnieniach. I dodaje, że nie ożenił się z nią z miłości, lecz dlatego że pierwszy mąż występuje z żądaniem

rozvodu oskarżył go o współwinę w popełnieniu cudzołóstwa. Maugham zarzekał się przed laty żonę, że była kobietą nader lekkich obyczajów, ekstrawagancką, że oszukiwała towarzyswo ubezpieczeniowe, zdradzała go z innymi, że była histeryczką i kilkakrotnie próbowała targnąć się na swe życie. Oficjalnie, córka Elżbieta urodziła się w r. 1915 a więc prawnie jest córką pisarza. Maugham twierdzi jednak, że faktycznie urodziła się w 1915, kiedy Syrię była jeszcze żoną swego pierwszego męża.

We wspomnieniach, Maugham ze szczególnym upodobaniem lubuje się w odwołaniu bolesnych i ciemnych stron swego pozornie szczęśliwego życia.

Od r. 1907 szedł drogą nieprzerwanym sukcesów. Podróżował i pisał, wybierając dla swych utworów egzotyczne tła i krajobrazy — Borneo, Indochiny, wyspy mórz południowych. Jego książki rozcho dziły się w milionach egzemplarzy. Rozchwytywały je zwłaszcza kobiety. Na podstawie powieści Maughama realizowano filmy. A on zbierał za to wszystkie pieniądze, mnóstwo pieniędzy i nabywał za nie rzeczy zbytkowe i luksusowe. Ulubiona maksyma pisarza głosi, że „Pieniądz jest szóstym zmysłem i bez niego, pięć pozostałych nie miałoby żadnej wartości”.

Wkrótce po rozwodzie z żoną, został właścicielem pięknej willi w Cap-Ferrat i posiadaczem jednej z najwspanialszych prywatnych kolekcji dzieł sztuki.

Czy był szczęśliwy? Starał się dawać do zrozumienia, że tak, że jest szczęśliwy i zadowolony z życia. Ale jak było naprawdę? Matrimony nie przyniosło mu szczęścia, podobnie zresztą jak i inne związki uczuciowe. Wulgarna i egoistyczna Mildred z „Of human bondage”, Mildred która porzuca i okrada Phill Carey'a jest obrazem i to „wysublimowanym” — określenie samego pisarza — wszystkich kobiet jakie zdarzyło mu się w życiu spotkać i pokochać i które go upokarzały i zdradzały. „Być może istnieją kobiety uczciwe — zwykły mawiać — ale ja takich nigdy nie spotkałem”.

Mając 90 lat Maugham zdr-

dza jeszcze niezwykle wprost w jego wieku żywotność. Ale czuje się nadal samotny.

Córce zarzeka oschłość i brak serca. Nie bawia go również dwaj wnuczkiowie, Tytu rzeczy nie cierpi, a kocha naprawdę tak niewiele: podróże, dobre jedzenie... Jego młodzieńcze marzenia spełniły się, a przecież pozostała w nim jakaś ogromna pustka wewnętrzna. Może padł ofiarą straszliwego nieporozumienia i pomylił uczucie, miłość z poczuciem własności, posiadania?

A Alan Frank Searle, znakomity sekretarz, w każdym calu dżentelmen, lojalny i wierny jak pies? Postać zresztą dosyć zagadkowa. Jego przeszłość osnuta jest mgiełką tajemnicy. Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości. Maugham adoptował sekretarza nie z miłości do jego osoby, lecz po to by zranić swą córkę lady Hope i ugodzić w świat do którego ona należy, świat, który ofiarował mu laury i pieniądze. Alan Searle jest tylko figurantem i pretekstem. I dziwnym zrządzeniem losu, będzie on zapewne jedynym człowiekiem czuwającym przy zwłokach pisarza w godzinie śmierci, i oplakującym jego zgon.

Pisarza, który wybrał samotność.

Jego książki cieszą się nadal ogromnym powodzeniem. Reżyser Ken Hughes kreśli film według powieści „Of human bondage” z Lawrence Harvey i Kim Novak w rolach głównych. Ale Maugham zdaje się nie dbać nawet o sławę. Zapytany o to, jakie miejsce chciałby zajmować w literaturze angielskiej, odpowiada „Pierwszoplanowe miejsce wśród drugorzędnych pisarzy”. Żyje wśród zbytku i piękna. Jego willa stoi niedaleko willi Jean Cocteau i innych sławnych osobistości. Na cmentarzu sławy i wielkości — można by powiedzieć. Pograżony w pogardzie dla świata, stary pisarz obserwuje rytualne już niemal ruchy i gesty otaczających go ludzi, służących i „syna”. To byłby piękny temat dla powieści. Powieści o starości, jeszcze bardziej gorzkiej i okrutnej niż była jego powieść o młodości. Ale teraz jest już za późno. Nigdy nie napisze tej powieści.

MARIA KOENIGTOWSKA

ci z brzeźniaku, przyniósł koszyk grzybów o trzonach ze śladami palców, ze żdźbłami trawy i mchu, przylepionymi do zamoczonych kapeluszy.

Sąsiadka wstała, aby zniknąć wśród modrzewi, potem wejść w którąś z miejskich dzielnic, opuścić go, zostawiając na pastwę parku i ławki o szerniałej desce. Gorąco zapragnął wycofać się z tych bezlitosnych oskarżających wszystko, co zrobił, aby zmarnować się, urzekających dni wrześnieowej jesieni.

Zmuszając się do wysiłku, pokonując to, co było w nim wątluszwate, szybko zastanawiał się nad dalszymi możliwościami. Zatrzymywał się przy znajomych, do których mógłby zwrócić się z prośbą o pożyczkę. Gdzie ich jednak, zaludniających zupełnie inne obszary, zajętych swoimi sprawami i obowiązkami, znaleźć o tej porze? Przypominał sobie sprzęty w mieszkaniu, ubrania w szafie, książki na półce, ale prawie równocześnie dyskryminował ich aktualną wartość pieniężną. Aż krzyżyk, duży krzyżyk przyczepiony do misternego łańcuszka, ostatnia pamiątka po wszystkim, co było kiedyś dobre i wrócić pomyślnie, wyjrzał ciemnym złotem z dna szuflady biurka.

Zerwał się z ławki, spojrzawszy na zegarek, nie kojarząc jednak wskazówek z cyframi, kuląc się i sprawdzając ręką zaśnieżony zarost, zerkając na zaskorupiałe na bućkach błoto, połączając w sobie popioły i skruche, zostawił dalej i lipy, cały wreszcie park w poczuciu, że gdzieś zdarzył się tragiczny wypadek, bezpośrednio i nieodwołalnie związany z jego losem.

Był znowu w mieszkaniu, stał przed niecierpliwie wyszarpaną z biurka szufladą, patrząc na krzyżyk, usiłując ocenić jego przypuszczalną wartość, szukając w myślach najpomyślniejszych okoliczności dla transakcji. Trzymał w palcach duży złoty krzyżyk, który jakoś aż dotąd ocalał ze wszystkich klęsk jego właściciela. Od dawna nie miał go na szyi. Przypomniałszy o tym, narzucił na siebie, ła-

cuszek, krzyżyk, nim zniuruchomił na zielonych groszkach krawata, jakiś czas dyndał jak wytrącone z równowagi wahadło.

Więc można było jeszcze raz wyruszyć na miasto i sprzedać komukolwiek krzyżyk, aby pohańbić i zniszczyć pamięć o wszystkim. Pieniądzy, nawet w najgorszym wypadku, starczy na kilka dni zwłoki czyli picia, może więc doczeka się mężowicy i pluchy, kleski dla dali i wrześnieowych pięknych poranków, możliwości odzyskania siebie? Oczywiście, może lepiej pojechać do żony, która mieszkała razem z synem w innym mieście, nakupić prezentów i pojechać, jeszcze raz spróbować ocalić to, co było do ocalenia? Czy jednak, krzyżyku, krzyżyku złoty a może i święty, jest coś do ocalenia, czy po tyłu spustoszeniach, w których przeważnie sam zawinił, istniała jakakolwiek szansa?

Usiadł, nie zdejmując krzyżyka z szyi, aby spróbować napisać list. Tym razem ostatni i stanowczy list do żony i syna, błagający i przeproszający. Spieszył się, gdyż bał się, że wyjdzie na miasto zanim zdąży napisać ten list...

„Drogi, kochany, ojciec! Wiem, że najprościej byłoby wrócić do domu, prosząc o przebaczenie, uspokójcie się, ocenić swoją ucieczkę i postępowanie, niegodne dobrze wychowanego człowieka, a po upływie jakiegoś czasu, gdy wróci lepsze samopoczucie, patrzeć na krzyżyk, słuchać wesołego deszczu, uderzającego o gonty dachu; wreszcie rankiem, jeżeli to po burzliwej nocy, wyjeżdżać łodzią na ryby; w niedziele i święta zapraszać do sądu na maliny pannę Cesię, tak nam życzliwą, albo pannę Florcię, która zawsze lubi u nas bywać i, kto wie, czy w końcu nie zostanie moją żoną?”

Ojciec, ohydnie zawiódłem ciebie i matkę, ale jeszcze nie wszystko stracone, mogę poprawić się, skończyć te cholerne studia, zacząć pracować, założyć rodzinę i żyć, budząc szacunek w otoczeniu...

Ojciec, dlaczego dotąd

działo się inaczej? Jeszcze raz, ojciec, podasz mi swoją życiową rękę, wszystko się odmieni, gdyż moje poczucie winy jest tak wielkie, że wróży najlepsze nadzieje. Ojciec, przecież...”

Przerwał pisanie, zaczął czytać koślawe zdania i zdumiał się: „Co ja robię? Gdzie jestem i w którym roku mego życia? Miałem napisać list, zwyczajny list do żony i syna, a piszę do ojca, którego dawno nie ma wśród żywych, mówię o sprawach, których może wcale nigdy i nigdzie nie było... Ojciec, przecież gdy jest tak duże poczucie winy, wtedy właśnie najtrudniej o nadzieję... Co ja robię?”

Chciał zacząć pisać od nowa, podsunął nawet pod rękę biały arkusz papieru, ale nie starczyło mu odwagi, przypomniał bowiem sobie, że już kilkakrotnie pisał właśnie do żony i syna; dwa razy do niego wracali, a potem wszystko powtarzało się, aby był w takiej sytuacji jak obecnie.

Znowu spróbował papierosa, jednak i tym razem próba nie powiodła się. Zniechęcony, odłożył papierosa z ognikiem do popielniczki. Chciał zdjąć krzyżyk z szyi, aby owinąć w papier i zrobić z niego małą paczuszkę, którą zostawił na biurku z napisem: „Tadzikowi na pamiątkę”. W samą jedną porę, jak mu się wydawało, pomyślał: „I tak będą o tym wiedzieli, gdy mnie znajdą. Czy jest gdziekolwiek ktoś, co wszystko potrafi załatwić?”

Zupełnie zapomniawszy, że właściwie to miał iść na miasto, na jeden lub dwa dni w zaulki miasta, pełne bełkotu i czkawki, śpiącego deszczu, ściągnął koc z kozetki, wszedł do kuchni, rozesał go z niejaką pedanterią na kafkach podłogi u metalowych nóg gazowego piecyka, uważnie odkręcił wszystkie trzy kurki i, sprawdzając z ulgą inny smak powietrza, wzbogacającego się o obezwładniające orzeźwienie, położył się.

Zrozumiał, że jeśli z tego kocyka nie ucieknie, to odzyska swoją dawną godność.

JAN HUSZCZA

Maugham w towarzystwie sekretarza dokonuje zakupów...



Konkurs na utwory małych form literackich

Zarząd Główny Związku Zawodowego Metalowców w Polsce odznaczony Orderem „Sztandar Pracy” i kl. ogłasza ogólnopolski otwarty konkurs na utwory małych form literackich o tematyce związanej z pracą i działalnością metalowców. Konkurs ma na celu zachęcenie twórców do podejmowania tej tematyki oraz zapewnienie repertuaru estradowego zespołom artystycznym placówek kulturalno-oswiatowych ZZM.

W kategorii A konkursu obejmującej wiersze liryczne i satyryczne oraz krótkie utwory prozy (monolog, dialog, skecz) zostaną przyznane nagrody: I — 5.000 zł, II — 3.000 zł, III — 2.000 zł, oraz dwa wyróżnienia po

1.500 zł. W kategorii B konkursu, obejmującej piosenkę (utwory słowno-muzyczne) zostaną przyznane nagrody: I — 16.000 zł, II — 7.000 zł, III — 5.000 zł, oraz dwa wyróżnienia po 3.000 zł. Łącznie dla kompozytora i autora tekstu.

Prace konkursowe dotychczas niepublikowane (maszynopisy tekstu w 8 egzemplarzach oraz nuty w układzie na głos z fortepianem i podpisanym tekstem pod nutami w jednym egzemplarzu) oznaczone godłem wraz z załączoną zaklejoną kopertą z zawierającą godło, tytuł utworu, imiona, nazwiska i adresy autorów należy nadesłać na adres: Zarząd Główny Związku Zawodowego Metalowców — Warsza-

wa, ulica Długa 25 z dopiskiem na kopercie „Konkurs Literacki” w terminie do dnia 15 września 1963 roku włącznie. Decydującą datą stempla pocztowego.

Każdy uczestnik ma prawo nadesłania dowolnej ilości utworów lecz każdy winien być oznaczony innym godłem.

W skład jury wchodzi: Henryk Czyż, Stanisław Ryszard Dobrowolski (przewodniczący), Wanda Doleżał, Jerzy Jurandot, Cezary Juszyński (sekretarz), Jan Nagrabiecki, Ryszard Siewicki oraz przedstawiciel ZG ZZM.

Jury zastrzega sobie prawo do łanego podziału nagród. Prace nie nagrodzone nie będą zwracane uczestnikom konkursu.

Wszelkich dodatkowych informacji dotyczących konkursu można zasięgnąć drogą korespondencyjną.

Niesłychany zamiar Vivian Malone

Historia wprost niesłychana. Dwoje Murzynów: śliczna Vivian Malone i James Hood ośmielił się wyrazić zamiar wstąpienia w czelodnie progi uniwersytetu w Alabamie. Dwa lata temu, gubernator George Wallace obiecał swoim wyborcom, że nie dopuści do jakiegokolwiek przełamania zasady segregacji rasowej. Wyborcy oczekują więc osobistej interwencji gubernatora. Zgodnie z daną obietnicą gubernator ma pojawić się w asyście członków Gwardii Narodowej stanu Alabama i zagrozić „czarnym” drogę do nauki. 309 dziennikarzy i fotoreporterów z całej Ameryki i Europy zjechało, by przyjrzeć się temu naczodziennemu widowisku.

Na dziedzińcu uniwersytetu panuje spokój. Studenci spacerują, śmieją się, rozmawiają. Nie wierzą, żeby mogło dojść do jakichś krwawych zajęć, tak jak to miało miejsce jesienią ubiegłego roku na uniwersytecie Oxford w stanie Mississippi.

Zapytani o to czy są za przyjęciem Murzynów na uniwersytet — studenci jednomyślnie odpowiadają: tak. A co kryje się za tą jednoznaczną odpowiedzią? Co trzeba student uważa, że odmawianie młodym ludziom prawa do nauki, jest po prostu niemoralne. Dwa pozostałe myślenia, że byłoby rzeczą nierozsądną, sprzeciwiać się nieunikniemu rozwojowi wychodzących z nich padków. Niektórzy z nich ośmielają się nawet wyrażać głośno polepienie pod adresem gubernatora Wallace.

„To polityk. Ale zapomina że dziś czas leci bardzo szybko. Zakaz studiowania dla Murzynów, to był dobry slogan wyborczy parę lat temu. Ale teraz...”

„Oczywiście — mówi młodziutka blondyneczka — nasi rodzice myślą jeszcze trochę inaczej, niż my. Ale i oni zgadzają się, że Południe musi się zmienić. Takie zajęcia jak w Mississippi, godzą w interesy naszego regionu. Nie mówię już o problemach ekonomicznych... Ale mogę gwarantować, że jutro nie się nie stanie...”

Właśnie, jutro. Nadchodzi wreszcie ów pamiętny ranek. Godzina 9 minut 50. Gubernator Wallace na czele Gwardii Narodowej zbliża się do głównej bramy uniwersytetu. No cóż, obiecał swoim wyborcom. Musi zagrozić „czarnym” drogę do wiedzy. Gubernator zwraca się do zebranych liczących dziennikarzy i fotoreporterów: „Muszę was niestety rozczarować, panowie. Oczekujecie zapewne scen gwałtownych. Nic z tego. Wszystko odbędzie się spokojnie!!!” Następnie gubernator wyciąga z kieszeni małą kartkę papieru z tekstem krótkiego przemówienia. Prze mówienie nie przynosi specjalnych rewelacji. Gubernator stanu Alabama George Wallace nie życzy sobie, aby Murzyni studiowali na jego uniwersytecie. I wszystko. Gubernator czeka.

Godzina 10.48. Nadjeżdża samochód, w którym siedzą Vivian Malone i James Hood. Z samochodu wysiada pełnomocnik prokuratora generalnego, prawa ręka ministra sprawiedliwości — Nicolas Katzenbach. Reprezentuje on prawo federalne, prawo, któremu muszą podporządkować się przepisy prawne poszczególnych stanów.

Katzenbach prosi Wallace o przepuszczenie dwojga Murzynów do wnętrza uniwersytetu. Wallace odmawia. Strzeżają aparaty fotograficzne. Kamery telewizyjne idą w ruch. Katzenbach wsłada do wozu i odjeżdża.

Gubernator dotrzymał obietnicy. Wyborcy nie mogą rościć pretensji. Ale to dopiero pierwszy akt tej tragikomedii. Na scenę wkracza rząd federalny. Gwardia Narodowa stanu Alabama przechodzi pod pozostawanie Waszyngtonu.

Oznacza to pozbawienie gubernatora prawa dysponowania siłami zbrojnymi. Dowódca Gwardii, stojący dotąd u boku Wallace staje naprzeciw niego i uprzejmie wzywa gubernatora do opuszczenia miejsca pod bramami uniwersytetu i dania wolnego przejścia dla dwojga czarnych studentów. Wallace zala muje się. I nagle oświadcza, że nie może się dłużej sprzeciwić wkroczeniu Murzynów w progi uczelni. Ustupuje. I odchodzi. James Hood i Vivian Malone wstępują na dziedzińiec uniwersytetu w Alabamie. Tragikomedialna została odegrana. Tego samego dnia odbywa się w Alabamie doroczna konferencja metodystów. Zabrał na niej głos Nolan B. Harmon — pastor parafii do której należy gubernator oświadczył swym współwyznawcom „Pokrzepiony modlitwą, pragnę wam powiedzieć, że gubernator Wallace popełnia błąd moralny, chcąc zabronić kolorowym studentom na uniwersytecie. Na dłuższą metę jest to również błąd polityczny”. I rzecz na Południu, jeszcze do niedawna wprost nie do pomyślenia. 700 członków kongregacji metodystów długotrwale owocają przyjęcie słowa czelodnego pastora. 8 miesięcy temu w stanie Mississippi szalała nienawiść rasowa. Zmieniła twarz i serca ludzi. Dziś w stanie Alabama panuje spokój. Czyżby mieszkańcy Południa zaczęli się wreszcie kierować zdrowym rozsądkiem?

Mówi Michel Sharbew, profesor języka angielskiego w Huntsville, filii uniwersytetu w Alabamie: „Jutro przy miemy trzeciego kolorowego studenta — Dawida Mc Glat hery. To znakomity matematyk. Pracuje w George Marshall Space Center i chce nie przerywając pracy zdobyć pewien zasób wiedzy dotyczącej zagadnień atomowych...”

„Trzeba być nierozsądnym — dodaje profesor — żeby sprzeciwiać się sprawom tak naturalnym jak obecność Murzynów na naszych uczelniach. Ku-Klux-Klan traci grunt pod nogami. Mieszkańcy Południa zaczynają wreszcie myśleć i rozumieć. Możli we, że będą jeszcze miały miejsce jakichś godne ubolewania incydenty, ale zasada pełnego równouprawnienia kolorowych z każdym dniem święcić będzie nowe sukcesy”.

Będzie święcić: A tymczasem? Czy naprawdę jest tak dobrze, jak twierdzi amerykański profesor? Fakty („god ne ubolewania incydenty”) temu przeczą.

Oprac. M.

JERZY WITCZAK

DNI MŁODOŚCI

Wielu łodzian dobrze zna letnią kawiarnię w Pałacyku mieszczącym się przy ul. Piotrkowskiej 262. Właśnie 25 bm. w tej pięknie położonej kawiarni (mającej dwa tarasy, działającą fontannę, przyjemny parkiet i estradkę) odbyła się uroczystość zakończenia trwających od 16 lipca Dni Młodości organizowanych przez Komitet Łódzki ZMS. Dni Młodości należą do najmłodszych imprez w plejadzie modnych u nas Dni Książki i Prasy, Dni Morza i wielu innych. Dopiero od 4 lat lipcowe spotkania młodzieży, złoży i festyny młodzieżowe zostały zgrupowane pod hasłem Dni Młodości. Początkowo atrakcyjne i radosne imprezy młodzieżowe nie cieszyły się większym aplauzem i rozgłosem wśród społeczeństwa. Możliwe, że zawiła tutaj nieumiejętność organizowania cyklicznych spotkań jak i brak przekonania ze strony młodzieży. Jednak od dwóch lat, a szczególnie w bieżącym roku sytuacja uległa dużej poprawie.

Rozglądam się po tarasie kawiarni „Palacyk” i oprócz stólików ciasno obsadzonych przez siedemnasto i dwudziestolatków widzę również wiele osób starszych. Starsi lubią brać udział w młodzieżowych spotkaniach i widząc przekonani się już do młodzieżowych programów i repertuarów. Tym bardziej, że eliksir Dni Młodości działa. Przy stólkach gdzie siedzą odmłodniał panowie i panie więcej nawet humoru i uśmiechów niż wśród młodych. Ci spokojnie, niektórzy nawet w skupieniu czekają na ostatni występ tegorocznych Dni Młodości. Nic dziwnego, bawili się, śpiewali i śmiali przez cały tydzień. A przy takim upale nawet tym najmłodszym i najbardziej żywiołowym często zasychało w gardle przy śpiewaniu wesołego twista. Bowiem w tegorocznych Dniach Młodości dominowały dwie rzeczy — piosenka i upał. Upał pozorny sprzymierzeniec organizatorów w efekcie wypłatał im wiele niezamierzonych figli. Tak Złot Młodzieżowy w Spale organizowany przez Komitet Wojewódzki ZMS w dniu 22 lipca zamiast rozpocząć się planowo o godz. 10.15 zaczął się o godz. 14.30.

Ludzie siedzieli, czekali, rozchodzili się na plażę i wracali. Nikt nie wiedział dlaczego, co się stało i w czym rzecz. A to takie proste — upał. Upał szkodnik doprowadził do tego, że z około 20 000 ludzi będących tego dnia w Spale na rozpoczęcie imprezy znalazło się raptem około 500 osób. Dalej, tenże sam szkodnik przyprawił o omdlenie kilka zespołów artystycznych mających wziąć udział w Zlocie. Na estradzie zgromadzeni widzowie nie ujrzeli zapowiadanego zespołu artystycznego Klubu Kultury przy PZPB w Piotrkowie, Klubu ZMS ze Zduńskiej Woli, zespołów ZMW i ZHP oraz TZWS.

Pokaz modeli latających nie mógł dojść do skutku, gdyż w rozrzedzonym powietrzu maszyny nie znajdowały oparcia dla skrzydeł. Ciężarowcy stali bezradnie przy roztopiających się sztangach. Wszystkiemu był winien upał... Nie czuje się powołany do oceny strony organizacyjnej Złotu. O wiele lepiej zrobił to Wydział Propagandy Komitetu Wojewódzkiego ZMS, jednak wydadę mi się, że organizatorzy Złotu liczyli się z wysoką temperaturą, przewidywali zakłócenia spowodowane upalem, trudności dojazdowe z Łodzi i województwa. Dlaczego więc mimo branych pod uwagę kłopotów (często natury obiektywnej) i szukania wcześniej środków zaradczych doszło do tak dużych zakłóceń w programie Złotu.

Rozmawiałem z dziewczętami i chłopcami, którzy dowiedziawszy się o otwarciu Wojewódzkich Dni Młodości w Spale przyjechali z Łodzi rowerami. Nie znali programu, wiedzieli tylko, że jest Złot Młodzieżowy. Przyjechali zmęczeni i bardzo ciekawi. Wyjeżdżali rozczarowani. Dobrze, że mogli obejrzeć chociaż występ zespołu Estrady Siemradzkiej i posłuchać śpiewu swoich rówieśników w programie „Estrada dla wszystkich”. Mieli prawo wyjeżdżać zawiadzeni. Bowiem wydadę się, że coś zabrał mi im z ich Święta Młodości, że je zubożyliśmy. Sam napis na estradzie „22 Lipiec — Święto Młodości” nie mógł usatysfakcjonować młodej widowni. Dobrze, że młodzi szybko zapominają.

My powinniśmy jednak pamiętać o tym i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Impreza typu Wojewódzkie Dni Młodości bardzo zobowiązuje, a młodzież ufa swojej organizacji. Nie zawiedli się natomiast tłumnie przybyli łodzianie na niedzielny festyn (21 lipca) w Parku na Zdrowiu organizowany z okazji tychże samych Dni Młodości przez Komitet Łódzki ZMS i „Express Ilustrowany”. Organizatorom nie przeszkodził upał i impreza wypadła ze wszelkim miar udanie. Tutaj królowała piosenka. Przeprowadzono błyskawiczny konkurs na polską piosenkę napisaną i skomponowaną w latach 1945—63. Po eliminacjach odbytych poprzedniego dnia w Pałacyku, w konkursie uczestniczyło dziesięć młodych piosenkarek i piosenkarzy. Oglądaliśmy tu starych znajomych z naszych łódzkich spotkań z piosenką i stremowanych, czerwonych po uszy debiutantów. Wszyscy podobali się jednak bardzo publiczności. Nie było tu śpiewaczej kokietery, ani snobistycznego zmanierowania. To śpiewali młodzi, czy żywiołowo gubiąc ręce i nogi w czasie wesołego twista, czy też bardziej sentymentalnie „Na nieśmiałość nie ma rady” z młodzieńczym zafascynowaniem treścią piosenki. Nie tylko, że śpiewali, ale ci młodzi znali także autorów tekstu i muzyki wykonywanych piosenek. A to podobno zdarza się bardzo rzadko naszym młodocianym piosenkarzom. Także zupełnie nieźle zaprezentowali się nast młodzi w konkursie „Co wiesz o Polsce Ludowej?”. Rówieśnicy naszej ludowej ojczyzny dobrze znają jej historię i śledzą tok współczesnych wydarzeń. Co prawda jeden z uczestników na pytanie jakie zna ministerstwa na pierwszym miejscu wymienił Ministerstwo Przemysłu Obuwniczego, ale to raczej wskutek młodzieńczej chęci rozbudowy i tworzenia nowego — a nie nieznanności tematu. Młodzi są optymistami, rozsada ich witalna siła czynu i radości. Rozśpiewani i weseli spędzili swoje święto. Nic też dziwnego, że wielu uczestników zebranych na końcowej imprezie w Pałacyku żalowało

tak szybko uciekających dni radości i piosenki. Rozstanie z tegorocznymi Dniami Młodości uatrakcyjnił im doskonalny Mieczysław Stefański wraz z zespołem Estrady Łódzkiej. Bawiono się i śpiewano do późnych godzin wieczornych. Komitet Łódzki ZMS jeszcze raz wybornie poradził sobie z organizacją i programem imprezy. Wychodząc o zmierzchu z kawiarni „Palacyk” słuchając opinii uczestników uroczystości. Wszystkie twarze były zadowolone i uśmiechnięte. Werdykt jednakowy. Bardzo podobały się nam imprezy i spotkania zorganizowane z okazji Dni Młodości. Jesteśmy wdzięczni za organizowanie tego rodzaju spotkań — mówili młodzi. Cóż, bravo Komitet Łódzki ZMS i podziękowania dla kierownika Wydziału Propagandy tow. Zdzisława Szadkowskiego za tak dobrą organizację Święta Młodych. Sądzę, że Dni Młodości już mocno i całkiem przyzwyczajonym dorobkiem weszły do renomowanej firmy naszych różnych polskich dni. Zegnamy się piosenką i życzymy tak uczestnikom jak i organizatorom pięknych słonecznych Dni Młodości za rok.



JÓZEF KADZIELSKI

Telewizja jest potężnym środkiem kultury masowej. Dzięki rozwojowi techniki rozpowszechnienie jej następuje dwa razy szybciej niż radia, które w czasie nadawania programu telewizyjnego staje się przedmiotem bezużytecznym. Dyskutuje się nad tym czy rzeczywistość telewizja zagraża w Polsce radiu na dłuższą metę. Optymiści w charakterze przykładowo podają liczby świadczące o podwojeniu się ilości aparatów radiowych w USA w okresie gwałtownego rozwoju telewizji i wyciągają stąd wniosek, że telewizja nie zagraża radiu, gdyż znajduje ono inne zastosowanie. Prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, który należy do największych optymistów pod tym względem niejedno-

krotnie stwierdzał, że objęcie trzema programami różniacymi się od siebie obszaru całego kraju sytuacji. Nie chciałbym występować w roli Kasandry, ale nie wróżę radiu wielkich perspektyw w Polsce. Radio rozpowszechnia się obecnie niezmiernie słabo; większa część aparatów sprzedawanych na rynku służy do wymiany starych aparatów, a nie rozpowszechnienia radia wśród nowych kategorii odbiorców. Niewiele poprawi się sytuacja po zelektryfikowaniu pozostałej części kraju, ponieważ na nowych obszarach mieszkańcy będą kupowali aparaty telewizyjne nie radiowe. Zresztą istnieją przykłady wskazujące, że na obszarach zelektryfikowanych bogactwo ludzi posiadają już aparaty telewizyjne w charakterze przedmiotów świadczących o pozycji społecznej.

Telewizja a kultura współczesna (VI)

Wydadę mi się jednak, że radio ma w Polsce ograniczone możliwości rozwoju i przy większym rozpowszechnieniu się telewizji i przedłużeniu programu jego rola zmniejszy się jeszcze bardziej. Przykład USA jest w naszym przypadku dość niefortunnym. W USA zwiększenie się ilości aparatów radiowych w okresie gwałtownego rozpowszechniania się telewizji nastąpiło dzięki olbrzymiej propagandzie handlowej wskazującej na patriotyczny obowiązek kupowania aparatów radiowych i instalowania ich w kuchniach (kobiety mężatki posiadające dzieci nie pracują), przedsiębiorstwach, a głównie — w samochodach. W Polsce możliwości te jak wiadomo są ograniczone i będą ograniczone w ciągu wielu najbliższych lat. Oto powód do kasandryzmu.

Rozpowszechnianie się telewizji w Polsce zbiega się z innymi procesami społecznymi i przyspiesza je. Jednym z nich jest tendencja do indywidualizacji życia rodzinnego. Wielkie migracje ludności, powstawanie nowych miast i nowych osiedli w istniejących miastach, duży procent zatrudnionych kobiet, nawet mężatek z dziećmi, prowadzi do rozpadu więzi rodzinno-sąsiedzkich. Rodziny stają się coraz bardziej zindywidualizowanymi instytucjami życia społecznego swoich członków. Proce-

sowi temu sprzyja rozpowszechnianie się telewizji. Rodzina przed aparatem telewizyjnym przekształca się w niezależne audytorium, przy dużej indywidualizacji poszczególnych członków. Proce-

skomunikacji kulturalnych, a więc dzienniki, radio, kino i teatr (nie zastępując przeważnie czasopisma i książki). Posiadając w sumie mniejszy wpływ niezależne audytorium, przy dużej indywidualizacji poszczególnych członków. Proce-

skie wskazują właśnie na tego rodzaju zjawisko; podobna sytuacja występuje także w Polsce, jak można przypuszczać na podstawie obserwacji autopsji. Wskazują na nią także inne dane. Jednym z nich są wyniki badań przeprowadzonych w Katowicach, dotyczące prefero-

Radio

Wielki wpływ telewizji wynika stąd, że w dużym stopniu zastępuje ona najważniejszą z istniejących dotychczas środków kultury masowej i





TELEWIZJA

w ZSRR

Tegoroczny Festiwal Filmów Telewizyjnych w Cannes przyniósł duży sukces telewizji ZSRR i Węgier. Grand Prix otrzymał radziecki film pt. „Trzy godziny w drodze” (dzielnica film fantastyczny). Bohaterem jego jest kilkunastoletni chłopiec, którego Węgier otrzymała na tym Festiwalu wyróżnienie (obok Francji). Nagrodę oficjalną przyznano amerykańskiemu filmowi „Krzesełko elektryczne” („The chair”). W konkursie na dokumentalny film telewizyjny zwyciężyła telewizja fińska. Być może któryś z tych filmów trafi i na nasze małe ekrany.

Odpowiednikiem naszego „Pegaza” w telewizji węgierskiej jest program pt. „Forum”. Nie ma on jeszcze tej tradycji co nasza audycja, gdyż powstał dopiero w tym roku. W „Forum” omawiane są najważniejsze problemy związane z literaturą i sztuką Węgier. Już po kilku audycjach tego cyklu, zyskał on ogromną popularność wśród widzów węgierskich.

Największe opłaty za oglądanie programu telewizyjnego płaca abonenci w NRF i Francji. W tej ostatniej abonament roczny wynosi 85 franków. Taka sama suma trzeba dopłacić przy kupnie nowego telewizora. Jeśli czas funkcjonowania aparatu obliczmy przeciętnie na pięć lat, to okazuje się, że telewizor francuski opłaca roczny abonament sumą 102 franków.

Na zdjęciu: Jeden z najpopularniejszych piosenkarzy, występujących w telewizji angielskiej — Pat Boone (wykonawca „Szybkiego Gozłasa”) w jednym z swych ostatnich filmów kryminalnych.



W tym roku przypada jubileusz 25-lecia telewizji radzieckiej. Powstanie jej bowiem, liczy się od marca 1938 r. Jednakże początki telewizji w ZSRR sięgają roku 1931. Wtedy to właśnie 29 kwietnia, przeprowadzono pierwszą eksperymentalną emisję telewizyjną. Możemy sobie wyobrazić ekran doświadczonego telewizora, na którym obraz rozkładano wówczas tylko na 30 linii. Ale ten udany eksperyment zainteresował reszce radzieckich radioamatorów. Jeszcze w tym samym roku, w Moskwie użyto dwóch radiowych nadajników (pracujących na falach 379 i 720 m) przystosowanych do emisji obrazu. Odbierali go radioamatorzy Odessy, Charkowa i innych miast, na swych własnoręcznie skonstruowanych, prymitywnych jeszcze telewizorach. Pierwszy krok został uczyniony. Minęły trzy lata i do 15 października 1934 r. nadano pierwszy program telewizyjny z dźwiękiem. Nie była to jeszcze (panująca dzisiaj) telewizja elektroniczna, lecz tzw. telewizja mechaniczna (tarcza Nipkowa).

Nadszedł wreszcie 25 marca 1938 r. W dniu tym oddano do eksploatacji nadajnik ultrakrótkofalowy w Moskwie. Pozwolił on na regularną pracę telewizji elektronicznej. Stacja nadawcza w Moskwie miała wówczas studio o powierzchni 300 m kw., a nadawała program o definicji 343 linii. W październiku tego samego roku, rozpoczęła działalność druga stacja nadawcza w Leningradzie (studio 70 m kw., definicja 240 linii). Wybuch wojny przerwał prace naukowo-badawcze nad ulepszeniem aparatury nadawczoodbiorczej. Ale już 7 marca 1945 r. nadano pierwszy program telewizyjny. W grudniu 1945 r. Moskiewski Ośrodek Telewizyjny, jako pierwszy w Europie wznowił regularną emisję programów. Były one odbierane przez 420 aparatów telewizyjnych, znajdujących się wówczas w Moskwie. Kolejnym etapem rozwoju telewizji w ZSRR, było wprowadzenie w końcu 1948 r. do eksploatacji nowego nadajnika emitującego program o definicji 625 linii. Rozpoczęły się transmisje spoza studia. Wreszcie pojawiły się pierwsze serwyne odbiorniki telewizyjne „Moskwicz” i „Leningrad”, których ekran miał 7 cali przekątnej. W latach pięćdziesiątych instytuty naukowo-badawcze Moskwy i Leningradu opracowały projekt technicznego wyposażenia ośrodków telewizyjnych i prototyp wozu transmisyjnego. Z początkiem roku 1955 Moskiewski Ośrodek Telewizyjny wprowadził codzienne emisje programu telewizyjnego. W roku następnym powstał drugi równoległy program. W 1958 r. rozbudowano Moskiewskie Centrum Telewizyjne do 5 studiów (największe o po-

wierzchni 600 m kw). W chwili obecnej prowadzone są prace nad wprowadzeniem trzeciego programu, który ma być emitowany przez 50 nowych stacji nadawczych, obejmujących m. in. Ural, Kaukaz i Azję środkową. Oblicza się że w 1965 r. Związek Radziecki będzie posiadał 180 telewizyjnych ośrodków nadawczych, 300 telewizyjnych stacji nadawczych oraz 15 mln zarejestrowanych telewizorów. Przewiduje się, że w 1980 r. każda radziecka rodzina posiadać będzie telewizor.

Rozwój techniczny telewizji w ZSRR idzie w parze z jej rozwojem artystycznym. Wskaźnikiem tego niech będą tegoroczne międzynarodowe konkursy telewizyjne. Na III Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Monte Carlo telewizja radziecka otrzymała „Złotą Ninfę” za najlepszą reżyserię programu pt. „Schody”. Na Festiwalu Filmów Telewizyjnych w Cannes Grand Prix w dziedzinie filmów fantastycznych przyznano radzieckiemu filmowi „Trzy godziny w drodze”. Jak więc z tego widać telewizja radziecka kroczy w tym roku od sukcesu do sukcesu. Dodac jeszcze należy, że wśród widzów radzieckich największą popularnością cieszą się programy muzyczne (m. in. operetki). Wysoki poziom reprezentują szczególnie telewizyjne audycje dla dzieci. Dużym uznaniem cieszą się wśród odbiorców telewizyjne spektakle teatralne. Sądzić należy, że nasze kontakty z telewizją ZSRR ulegną rozszerzeniu.

TADEUSZ WIĄCEK



chicznej izolacji i intymności. Zwraca na to uwagę J. Chłasiński w swojej znakomitej książce pt. Kultura Amerykańska. Pisze on, że w społeczeństwie amerykańskim, w którym kultura posiada najbardziej masowy charakter książka zyskuje obecnie na znaczeniu. „W społeczeństwie tego typu książka odzyskuje funkcje odrywania jednostek od tego właśnie społeczeństwa aktualnie otaczającego jednostkę, stwarzając jej wtórne środowisko prywatności i skupienia. Tego nie daje telewizja ani żaden inny rodzaj komunikacji kulturalnej”. Czy takie zjawisko nastąpi w Polsce po rozpowszechnieniu się telewizji zależy od szkoły, która jest podstawową instytucją społeczną kształtującą nawyki czytania wśród dzieci i młodzieży. Charakter przyszłej kultury w Polsce zależy będzie od wytrzymałości partnerów w tym wyścigu stulecia.

Nie ma ogórków?

Ależ są i kosztują pięć złotych kilogram, przynajmniej na wybrzeżu, nie wiem, jak w Łodzi. Natomiast, pomimo jak dotąd ogórków w telewizji. Dziwne, prawda? Stawialiśmy na te ogórki. Stawialiśmy, bo jakoś mimowiednie udzielił mi się sportowy nastrój; już przecież drugi tydzień trwają w telewizji emocjonujące pojedynki sportowe — poprzednio oglądaliśmy spotkanie dwóch potęg lekkoatletycznych świata: ZSRR i USA, teraz zaś mieliśmy walki o mistrzostwo świata w szermierce. Na marginesie tych ostatnich — mała dygresja. Gdańsk, podobnie jak i Łódź, nie posiada własnego wozu transmisyjnego. Stąd też zapewne wielu z państwa psociło ile wlezie na to, że pierwsze spotkania szermierze z Gdańska były nadawane właściwie po fakcie, następnego dnia w relacji filmowej, która — nawet najdokładniejsza — nie może oddać tych wartości, jakie przedstawia sobą żywa, bezpośrednia transmisja. Dziwić się tu należy mocno, dlaczego na ten ważny okręg czasu dla tysięcy kibiców nie znalazł się nikt chętny do wypożyczenia wozu transmisyjnego. Gdzie znajdował się wówczas wóz, na przykład warszawski? Nie wiem. Myślę jednak, że gdziekolwiek by nie był, należało go wycofać i postać do Gdańska. Telewizja czasem stosuje dziwną politykę: drugorzędne mecze mają pełną „oprawę”, gdy natomiast jest rzeczywiste wydarzenie sportowe, jak w przypadku Gdańska, telewizja zadawała się półśrodkami i kornpromisami. Strata co prawda została nadrobiona, ale żal — Cóż, ten pozostał.

tragedii, mają to do siebie, że niewiele starów przykładają do układu przedstawienia, że powtarzają oklepane ujęcia, przede wszystkim zaś formy rozrywkowe — są zbyt mocno „cyrkowe”, usiłują naśladować, bez powodzenia „varieté”. Dajmy więc im spokój. Ostatecznie, jeden cyrk raz na dwa tygodnie, czy nawet raz na tydzień, można sobie spokojnie darować. Telewizji też. Z programów polityczno-publicystycznych na pierwszy plan wysunął się zdecydowanie program przygotowany przez telewizję warszawską o zbrodniarzu wojennym Hansie Globke. Może dlatego, że użyto w nim wstrząsających zdjęć filmowych — dokumentów, które zawsze będą wywierać niezatarte wrażenie, przemawiając do wyobraźni i serca nawet młodych, nie pamiętających właściwie po fakcie, następnego dnia w relacji filmowej, która — nawet najdokładniejsza — nie może oddać tych wartości, jakie przedstawia sobą żywa, bezpośrednia transmisja. Dziwić się tu należy mocno, dlaczego na ten ważny okręg czasu dla tysięcy kibiców nie znalazł się nikt chętny do wypożyczenia wozu transmisyjnego. Gdzie znajdował się wówczas wóz, na przykład warszawski? Nie wiem. Myślę jednak, że gdziekolwiek by nie był, należało go wycofać i postać do Gdańska. Telewizja czasem stosuje dziwną politykę: drugorzędne mecze mają pełną „oprawę”, gdy natomiast jest rzeczywiste wydarzenie sportowe, jak w przypadku Gdańska, telewizja zadawała się półśrodkami i kornpromisami. Strata co prawda została nadrobiona, ale żal — Cóż, ten pozostał.

Na program tygodnia typowe wszakże inną pozycję. „Przeciwko zagrożeniu” Haliny Mirószowej. Słynne dyskusje przed kamerą — dyskusje o kodeksie rodzinnym czy kodeksie karnym, ostatnie — o ile sobie dobrze przypominam (w każdym razie na pewno ostatnie z tych, o których się pamięta) zostały zdystansowane czwartkową (25. VII) dyskusją: „Przeciwko zagrożeniu”. Powinna się ona nazywać o wiele prościej, adekwatniej do treści — „W obronie dziecka”. Tytuł to ważna sprawa, również i w telewizji. A dyskusja Haliny Mirószowej poruszyła problem niebagatelny, niezwykle ważny społecznie: kwestię dziecka — dziecka krzywdzonego w wyniku wewnętrznych konfliktów między rodzicami. Badania i codzienna praktyka różnych Poradni Społecznych, Poradni Zdrowia Psychicznego oraz innych wykazują stale, że właśnie te konflikty rodzinne stają się głównymi przyczynami wielu wypaczeń moralnych wśród dzieci. I tu pojawia się trudność wielka, dotąd nierozwiązana — sąd i prawo ingerować mogą jedynie w przypadki patologiczne, podlegające paragrafowi, natomiast w konflikty typu moralnego konflikty wewnątrzrodzinne sąd nie wnika. Dziecko jest w takich rodzinach wciąż bezbronny. Podczas telewizyjnej dyskusji padł projekt, a raczej idea — powołania społecznych inspektorów spośród ludzi starszych wiekiem: pracowników, nauczycieli, lekarzy, którzy otrzymaliby kompetencje chronienia zagrożonych dzieci. Trudno jest w tej chwili wyrokować, czy idea „chwyć”, natomiast trzeba apelować do publicystów i dziennikarzy, aby pomogli telewizji w kontynuowaniu rozpoczętej dyskusji. Ta pierwsza bowiem, inicjująca, telewizyjna dyskusja umrze śmiercią akademika, jeżeli nie otrzyma społecznej poparcia: zaangażowania całej opinii społecznej.

Do tego tematu wróć jeszcze w oddzielnym felietonie.

KOWALSKI

a Telewizja

Zestawienie odpowiedzi zamieszczamy na końcu. Przedstawione wyniki wskazują na zdecydowane preferowanie telewizji w porównaniu z innymi środkami kulturalnymi; głównie wśród pracowników fizycznych. Jednocześnie, w miarę przechodzenia od środków wizualno-słuchowych do literackich widać spadek preferencji, który w większej mierze występuje znów wśród pracowników fizycznych. W preferowaniu poszczególnych środków widać także różnice między mężczyz-

nami a kobietami np. mężczyźni w większym stopniu preferują gazety, a kobiety radio, co związane jest z różnicami w poziomie intelektualnym i zainteresowaniach. Telewizja jest preferowana nie tylko w porównaniu wymienionymi środkami masowe go oddziaływania, lecz także w porównaniu z takimi instytucjami kulturalnymi jak kino i teatr. Na potwierdzenie tego wniosku nie posiadamy danych z badań, ale preferencja w tym zakresie występuje. Wskazuje na to ciągły spadek ilości biletów sprzedawanych do kin i teatrów, głównie w środowiskach lokalnych o gwałtownym rozwoju telewizji, do których należą Katowice i Łódź. Preferowanie telewizji posiada głębsze przyczyny natury technicznej i społecznej i w konsekwencji prowadzi do przeobrażenia całej kultury

współczesnej. Jeszcze przed rozpowszechnieniem się telewizji w Polsce zwracano na to uwagę. A Siciński na podstawie analizy zasięgu słuchania radia i uczęszczania do kina oraz czytelnictwa gazet i książek doszedł do wniosku, że w Polsce współczesna kultura masowa w większym stopniu jest kulturą słowa i obrazu (radio i film) niż druku (książka i gazeta). I to już obecnie, przed szerszym upowszechnieniem telewizji. Telewizja w ostatnich latach wyraźnie wzmocniła te tendencje.

TELEWIZJA A KSIĄZKA

Czy telewizja jest w stanie zastąpić słowo pisane, a główne nie książkę? Wydaje się, że nie. W pewnych okresach życia całkowicie nie. Do okresów tych należą takie, w których młodzież i osoby dorosłe poszukują samotności, psy-

Środki kulturalne	Ogółem N=173	Pracownicy fizyczni			Pracownicy umysłowi		
		Razem N=95	M N=52	K N=43	Razem N=77	M N=35	K N=42
Telewizja	79,2	91,3	92,3	90,7	62,0	62,9	64,3
Radio	63,0	68,5	63,7	77,3	53,5	40,3	60,0
Gazety	37,0	38,8	44,1	22,7	46,6	50,7	39,4
Czasopisma	24,0	22,0	21,9	22,3	27,2	31,4	22,4
Książki	16,9	6,3	5,8	7,0	30,0	25,7	33,3

Korektorzy z DOPiT

Wydana ostatnio książka telefoniczna na lata 1963/64 przynosi bogaty wybór haseł reklamowych, w których brak sensu idzie o lepsze z błędami logicznymi, słownikowymi, stylistycznymi i gramatycznymi.

Oto niektóre perełki twórczości telefonicznej:

● Nie trać czasu przy okienku, doręczyciel również inkasuje abonament za radio i telewizor.

● Najlepszy sposób otrzymania gotówki za wysłany towar, to pocztowa przesyłka pobraniowa.

● Poczta jest twoim inkasentem, korzystaj z przesyłek pobraniowych i zleceń pocztowych.

● Olakowanie paczki, to lepsze zabezpieczenie jej wartości. Wszystkie urzędy pocztowe wykonywują usługę lakowania paczek.

● Szybciej i taniej obsłuż cię telefon międzymiastowy wieczorem lub w nocy.

Poza tak cennymi wskazówkami, autorzy książki radzą również: „zadzwoń na 03” i w pięknej formie instrują mieszkańców Kutna: „Abonenci Kutna łączą się bezpośrednio z abonentami (tu wyszczególnienie miejscowości) przez wybranie tarżu numerowa żądany numer — umieszczony w spisie telefonów”.

Z największym zdziwieniem wśród haseł pocztowo-reklamowych, przeczytaliśmy również hasło tej treści: „Pamiętaj! Obrona kraju obowiązkiem każdego obywatela”. A może zamiast szermować wielkimi słowami ni w pięć ni w dziesięć, „nastaw się na program minimum: „Obrona języka polskiego obowiązkiem korektora i wydawcy słowa drukowanego”?

Na str. 2 książki zawiera adnotację: „Korektę wykonał zespół pracowników DOPiT w Łodzi”.

Wyobraźmy sobie motywy przewodni odpowiedzi Poczty na naszą notatkę. Będzie to prawdopodobnie coś w rodzaju: „Zawiadamy niniejszym, że korekta książki telefonicznej została przeprowadzona przez naszych pracowników w czynie społecznym”.

Natomiast — czynnem społecznym, użytecznym byłoby zatrudnienie na poczcie przynajmniej jednej osoby z wykształceniem filologicznym.

Może wtedy również odbornik radiowy przestanie się nazywać urządzeniem radioodbiorniczym, automat telefoniczny — aparatem wrzutowym, a może na dodatek tragicznego „doręczyciela” zastąpi z powrotem poczciwy listonosz.

odgłosy TYGODNIA

Państwowa Komunikacja Samochodowa

Najpierw przykłady. Nie szkodzi, że nieco spóźnione. Autobus do Buska przez Kielce odchodził w dniu 22 czerwca o godz. 15.30 z Łodzi. Jest to autobus pociągowy z odpowiednio podwyższoną opłatą, który w Kielcach znalazł się miał około godz. 19. Opóźnienie wyniosło ponad półtorej godziny. Trudności obiektywne? Awaria? Bynajmniej. Kierowca zabierał (mimo przepełnienia autobusu) kogo się dało i gdzie się dało, a że wóz jako pociągowy nie miał konduktora, biletowanie powodowało jeszcze dłuższe postoje i w rezultacie autobus ledwie się zmieścił w limicie czasowym dla wozów normalnych nie pociągowych.

Czasem dzieje się odwrotnie. Autobus normalny nie zatrzymuje się na wyznaczonym przystanku. Tak było na przykład w dniu 30 czerwca z autobusem do Grabowa, odjeżdżającym z Łodzi o godz. piątej z minutami. Kierowca tego wozu nie uznał za stosowne zatrzymać się (mimo nie przepełnienia wozu) w Aleksandrowie gdzie na przystanku czekało pięć osób. Dlaczego? Czy nie odpowiadała mu zbyt mała liczba pasażerów? Niewiadomo.

Czymże bowiem wytłumaczyć taką scenę. Na przystanku zatrzymuje się autobus z przyczepą jadący z Łodzi do Luboni. Konduktor (nr służbowy 122) zapowiada: „Pasażerowie bez biletów miesięcznych wsiadają do przyczepy”. Przyczepa zatoczona do granic wytrzymałości, natomiast w wozie silnikowym są nawet miejsca siedzące. Podróżnych z biletami miesięcznymi jest zaledwie kil-

koro. W pierwszym wozie nadal luźno, w drugim natomiast dantejskie sceny. Konduktor oczywiście tego nonsensu nie widzi, bo i co to go obchodzi. W drodze łaski pozwala na którymś z dalszych przystanków przenieść się do pierwszego wozu bliższej zemdlenia kobiecie. Okazuje się, że jednak ludzki człowiek. Szkoda tylko, że mało myślący.

Małe wydanie „Głosu Robotniczego” prowadziło przez pewien czas akcję „PKS i ja”. Niestety, znakomita większość korespondencji poświęcona była podobnym zdarzeniom — jakże mało chwalebny dla tej szacownej instytucji. W odpowiedzi na postulaty i skargi zawarte w korespondencji do „Głosu Robotniczego” i przekazane dyrekcji Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa PKS jeszcze w lutym br. rzeźbiona dyktanda zastosiła metodę wycekiwania. Utożsamia się w ten sposób ze swoimi licznymi użytkownikami, którzy na setkach przystanków także wyczekują. Często bezskutecznie.

Z pewnego sprawozdania

Łódzki Komitet Społecznego Funduszu Budowy Szkół rozesłał sprawozdania z osiągnięć zbiorczych na rzecz SFBS za m. czerwiec 1963 r. Wynika z tego sprawozdania, że w połowie roku tylko trzy kategorie pracowników wywiązały się z 50 i więcej procentach ze swoich zobowiązań: pracownicy z tytułu umów o pracę (53 proc.), twórcy (53 proc.) i spółdzielczość pracy i spoż. (80 proc.). Rzemiosło, handel prywatny i wolne zawody figurują gdzieś między 40 a 50 proc. Najbardziej wypadli chłopcy indywidualni i spółdz. (25 proc.) oraz przemysł prywatny (28 proc.).

Jako krewniak chłopów indywidualnych odczuwam wstyd za moich pobratymców.



Przygoda z „Przygodą”

22 lipca br. rzeczywiście było upalnie i rzeczywiście w kinie „Muza” na ul. Pabianickiej chętnych na obejrzenie filmu Antoniego „Przygoda” było tylko 13 osób (nie wiadomo ile odeszło w międzyczasie od kasy, która była czynna a nie sprzedawała biletów na seans rozpoczynający się o godz. 15.30) — Dla dwóch widzów nie byłoby wyświetała filmu — powiedziała nam pani w kasie, ale jak się rzekło, osób uzbierało się 13. Byli więc widzowie, biletów, mechanicy, nawet kierownik kina ale filmu nie było. Seans nie odbył się ponieważ jak oznajmił kierownik — Nie opłaca się, prąd za dużo kosztuje.

Pomijając fakt, że do „Muzy” jechaliśmy półtorej godziny żądne wrażeń estetycznych i czekaliśmy na następny seans, który jednak

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



Wiesława

GROCHOWSKA

Pierwsze lata — to Teatr Powszechny pod dyr. znakomitej Jadwigi Chojnackiej. Dało to młodej aktorce dużą swobodę życia na scenie i umiejętność wcielania się w kraciowate nawet sprzeczne z sobą postacie sceniczne, co wykazała później grając już w Teatrze Ziemi Łódzkiej. Przykładem tego udane role od Młynarki w „Zaczarowanym Kole” do Hanki w „Moralności Pani Dulskiej”.

Publiczność Łodzi i województwa oklaskiwała ją jako Agatkę — w „Szkołę żon” Mollera. Marikę w „Niemcach” Kruczkowskiego. Niedawno odniosła Wiesława Grochowska duży sukces w „Niecierpliwych sercach” Patricka, grając siostrę Małgorzatę oraz w sztuce O'Neill „Anna Christie” w roli tytułowej.

W chwili obecnej p. Grochowska przygotowuje rolę Bronhildy — w sztuce Z. Nienackiego pt. „Myszki króla Popiela”. (Sztuka ta zainauguruje jubileusz 10-lecia Teatru Ziemi Łódzkiej).

Artystka współpracuje z Wytwórnia Filmów Oświatowych oraz z dubbingiem. Tekst i zdjęcia GERARD PUCIATO

UWAGA, MPK!

W jednym z ostatnich numerów „Expressu” przeczytaliśmy notę zatytułowaną „Chwila mocnych wrażeń”. Oto treść notatki:

Od strony Al. Kościuszki usłyszano syrenę. Ulicą A. Struga pędził czerwony wóz strażacki. Milicjantka kierująca ruchem na skrzyżowaniu Piotrkowskiej i Struga błyskawicznie zatrzymała pojadę. Tymczasem Piotrkowska od południa nadjeżdżał autobus MPK. Czy kierowca SAN nie usłyszał gwizdka, czy nie zauważył milicjantki zasłoniętej przez furgonetkę, czy też nie mógł już uruchomić hamulców — dość, że wpakował się na skrzyżowanie akurat w momencie gdy wpadł na nie również samochód straży.

Liczni przechodnie zamarli, trwożnie obserwując jak

czerny wóz gwałtownie hamuje i po chwili już na niewielkiej szybkości o centymetry — o włos! — mija tył autobusu.

Długo jeszcze komentowano to wczorajsze wydarzenie. My chcielibyśmy wyrazić na tym miejscu uznanie kierowcy samochodu straży. Fenomenalna przytomność umysłu! Tylko zażdrościć takiego refleksu!

Oczywiście, należy wyrazić uznanie kierowcy samochodu straży. Ale przy okazji należałoby chyba zwrócić uwagę na to, że kierowcy autobusów MPK bardzo często nie zwracają uwagi na żółte światła, przejeżdżają NA PEŁNYM BIEGU skrzyżowania ulic, mimo że: 1) obowiązują ich podobnie jak wszystkich innych kierowców ogólne zasady ruchu, 2) niejednokrotnie mają czas na to, aby zatrzymać się przed skrzyżowaniem. Dlaczego się nie zatrzymują?



A swoją drogą dlaczego właśnie w peryferyjnej „Muzy” wyświetla się trudne filmy a w śródmieściu inne różne zbrodniarze i panny, zabawne buzie, Arseny Lupiny itd. Też rzecz godna zastanowienia.

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-79 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirki 17.

Zam. 23 74 VII. 63. K-4



Wójtowska kariera

(Wspominki bez łązki)

— Wiesz sąsiadzie, mój koń zachorował: całkiem nie pije. — To wybierzmy go na wójtę. Zaraz zacznie pić.

Anegdota, którą powyżej przytoczyliśmy, opowiadał sobie chłop na Białorusi, kpiąc ze swych wójtów przed pierwszą wojną światową. Nie będzie jednak przesadą, jeżeli tę historyjkę rozczłapiemy i na stosunki polskie zarówno przed pierwszą wojną światową, jak i w dwudziestolecie.

Otóż wielu wójtów, zanim wybrano ich na to stanowisko, było „porządnych” gospodarzami i jeśli nie abstynentami, to tylko od czasu do czasu „kropnęli” sobie jednego małego czy staj gorzałki lub młodowód na jakimś weselisku.

Ale kiedy człowiek taki stawał się pierwszą osobą w gminie — zazwyczaj zmieniał się i jego gusta. Wódke czystą zastępowała szlachetniejsza, a z „szlachetnej” pólki, nie tak plekna w język, którą można się było już delektować... I zaczęło się to delektowanie. Zmieniło się towarzystwo — zamiast wiejskich kumoszek — były już paniusie. Trafiły się wycieczki służbowe do powiatu, albo i jeszcze dalej... A czas szybko leciał i ani się człowiek obejrzał, jak minęła kadencja i trzeba było zdawać kasę. Jak amen w pacierzu, zazwyczaj w wójtowskiej kasie brakowało,

Trzeba było i niejedną mordziwną sprzedać na pokrycie długów... Stantowany wójt zaszywał się w mysia dziurę, wstydził się i medytował. Szkoda, że po niewczasie.

Morał z tej opowiadki — nie tylko dla wójtów, których nie ma już w Polsce Ludowej, ale i dla wielu słabych głów.

„Idylla” maleńka taka...

„Idylla” — jak dla kogo. Dla właściciela pewnej meliny pijackiej — na pewno. Ale dla rodzin „bohaterów”, którzy odwiedzali ten przybytek — bardzo wątpliwa. Świadczy o tym poniższy list (jeden z wielu, jakie w tej i innych sprawach codziennie napływają do placówek MO):

„My mieszkańcy „Kozin” zwracamy się do pana Komendanta z podziękowaniem dla dzielnicowych, którzy przyczynili się do zlikwidowania meliny piackiej w Łodzi, przy ul. Okrzei nr 20. Obecnie możemy spokojnie przejść ulicą do pracy i z pracy wieczorem wrócić do domu, a dzieci nasze nie będą przyglądały się, jak pijane kobiety zatrzymywały naszych mężów a co słabsi ulegali złym wpływom i wpadali w bagno. Dzielnicy ci swą pracą zasłużyli w oczach mieszkańców tej dzielnicy na wyróżnienie”.

„Idylla”, „idylla” i po „idylli”. Nazwiska dzielnicowych: st. sierż. Józef Brzozowski i st. sierż. Edward Tomczyk. Życzymy wszystkim dzielnicowym i mieszkańcom wszystkich ulic (także w innych miastach i osiedlach) podobnych sukcesów.



do druku podał 50 Czerwcowiska

Kazimierz Kamiński

Kamiński dość często przyjeżdżał na gościnnie występy do Łodzi.

Podczas jednego z pobytów grał wspaniałą rolę „Prokuratura Hallersa” Lindaus — sztukę osnutą na tle rozdrożenia jaźni. W akcie trzecim, w scenie z lekarzem, którego grał Kamiński, usłyszał rozmawiających, półgłosem dwóch widzów.

Pochwycił rękę Piłarskiego mówiąc: Zaczekamy — spojrzal na widownię.

— Państwo przekadzają nam grać... Szeptajcie nie umilkij. Powtórzcie mi to trzykrotnie. Kamiński spytał partnera. — Czy u was zawsze tak jest?

Piłarski zdenerwowany i zawstydzony niekulturalnym zachowaniem się publiczności rodzinnego miasta odpowiedział: — Niestety, tak.

— A to nieładnie, bardzo nieładnie. Zaczynamy od początku.

©

Kamiński był mistrzem charakterystyki. Nikt z aktorów nie wiedział jakich używał szminek, gdyż zamierał się na kłecz i dopiero gdy maska była gotowa wołał garderobianego, który pomagał mu się ubierać.

W pewnej sztuce wchodził na scenę w płaszczu, kapeluszu i z parasolem. Fortier, nie poznawszy artysty, zwrócił się do słowami:

— Bardzo szanownego pana przepraszam, ale obcym wstęp za kulisy wzbroniony.